

# PARADA



ROK II

NIEDZIELA, 6 SIERPNIĄ 1944 R.  
SUNDAY, AUGUST 6, 1944

Nr 16 (35)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

# NIEMNIE, DOMOWA RZEKO



Traki

*Niemnie, domowa rzeko moja! gdzie  
są wody,  
które niegdyś czerpałem  
w niemowlęce dłonie,  
na których polem w' dżajkie pływałem  
ustronie,  
Sercu niespokojnemu szukając  
ochłody...*

A. MICKIEWICZ

Niemen... Heż to rzek wielkich, wspa-  
niałych, imionami swymi groźnych lub  
tajemniczych, widział żołnierz polski w  
tragicznej tułaczce swojej ostatnich lat!...  
Wołga — „mat' rodna” Stefki Razina,  
Syr-Daria i Amu-Daria, omywające kraj,  
który jest wielkim emmentarzem polskim,  
Tygrys i Eufrat, pamiętające ponoć czasy  
raju, życiodajny, omdlewający w skwarze  
afrykańskiego słońca Nil... Lecz, która z  
tych wielkich rzek może się równać z

Niemnem, — która ma takie malownicze  
brzegi i tak rzeźwiącą, czystą wodę?

Majestatycznie, spokojnie, czasem jed-  
nak burzliwie, czasem rozjaśniając ukry-  
tym uśmiechem, niesie Niemen swe wo-  
dy ku bursztynowym brzegom Bałtyku.  
Stamtąd od wieków wdzierały się w głąb  
Niemnowego kraju nie tylko złociste  
bursztyny, ale i zbrojne zastępy wojow-  
ników północy. Błąkają się w borach  
nadniemeńskich cienie najeźdźców, nio-  
sących ze sobą pożogę i zniszczenia, a wo-  
dy Niemna nieraz się krwawią w blas-  
kach zachodzącego słońca wspomnie-  
niem wchłoniętej krwi wrogów i obroń-  
ców...

Na górzystym brzegu Niemna od wie-  
ków stoi gród warowny, twierdza, która  
swym imieniem wskazuje na rolę szczyta  
obronnego: Grodno. Na wschód od sta-  
rego, warownego gródu znajduje się



Kaplica św. Kazimierza w Katedrze Wileńskiej

nowy, bo znacznie młodszy, choć rów-  
nież hojowy, zamkowy gród — Nowo-  
gródek. Od Grodna do Nowogródka  
można przeciągnąć linię, jakby prostująca  
bieg Niemna. Na północ od tych miast-  
twierdz, na brzegu pięknej Wilii, biegną-  
cej do Niemna, na wzgórzach rozłożyło

się inne miasto-twierdza — Wilno. A od  
południa drogą do Grodna i Wilna kreśli  
zwykłą linią Szczary prastary Sło-  
nim.

Te cztery miasta, jak cztery baszty ob-  
ronne warownego zamku. Przestrzeń po-  
między nimi — to kraj miłości i walki,  
kolebka duchów wielkich, niespokojnych,  
szukających lotów podniebnych. Tu mię-  
dzy Wilnem a Słoniem dojrzywał do  
świętości św. Józefat Kuncewicz, tu mię-  
dzy Wilnem a Grodnem wlatywał ku  
niebu uskrzydłony duch św. Kazimierza.  
Nowogródek i Wilno — to Mickiewicz.  
Wilno i Słoniem — to Lew Sapieha. Gro-  
dno — to Tyzenhauz. Słoniem i ...Kraków —  
to Kościuszko. Wilno i ...Kraków — to  
Piłsudski... To Barbara Radziwiłłówna.

Na wielkim terenie, którego strzegą  
cztery miasta-twierdze, rodzi się wiel-  
kość ducha, miłości, bólu i ofiarności.  
To nie jest kraj geniuszów, to jest kraj  
wielkości przeżyć, które są udziałem  
wszystkich, zróżnicowanych na tej ziemi.

Dziś wielkość cierpienia i poświęcenia  
znów kołata do najbardziej nędżnych nawet  
domków i chat.

Burzliwy jest Niemen, niespokojny.  
Zbyt dużo krwi spływa do jego nurtów,  
zbyt dużo krwi i łez niesą mu fale Wilii  
i Szczary.

Groźną falą uderza Niemen o brzeg,  
spługawiony stopami nikczemnego wro-  
ga. Chce zmyć z ziemi, wyrzucić do  
morza plugawe postacie najeźdźców, nie  
rozumiejących głosu wieków, nie znają-  
cych duszy lasów, które wychowały Bo-  
hatyrewiczów, — rzek i pól, które na-  
tchnęły poetów...

Burzy się stary Niemen, lecz nagle cich-  
nie: oto drżące ze wzruszenia wody Wi-  
lii niesą mu święty wizerunek Matki Bos-  
kiej Ostrobramskiej, — oto Szczarą śpie-  
wa zapomnianą pieśń o Matce Boskiej  
Żyrowickiej, której wizerunek w XVIII  
wieku cudownie ukazał się aż w Rzymie:

*Ty, Słoniem i ty, Rzymie,  
Pieśń Margi śpiewajcie,  
Jej słolicę — Żyrowice  
Serdecznie wychwalajcie...*

O Niemnie, domowa nasza rzeko! Nie  
wspominać ciebie, — wrócić do ciebie  
pragniemy! Do twoich brzegów przy-  
paść i ucałować piasek omyty twymi fa-  
lami, i łzę szczera i czystą uronić na  
twe wody, — niech popłynie w dal, jako  
bezzłoty krzyk cierpienia, jako dziek-  
czynienie, jako przysięga wierności tobie  
i tej ziemi, której od wieków służysz,  
dając nam ludziom przykład wytrwałości,  
siły i niezłomnej wiary...

WALERIAN CHARKIEWICZ

Kościół Dominikanów





W dniu 23 lipca w zdobytej przez 2 Korpus Anconie, Naczelny Wódz, Generał Broni Kazimierz Sosnkowski w obecności Dowódcy APW Generała Dywizji Władysława Andersa udekorował Orderem Virtuti Militari Generała Sir Harolda Alexandra, Dowódcę Armii Sprzymierzonych we Włoszech, oraz Generała Sir Oliver Leese'a, Dowódcę VIII Armii. Na honorowych trybunach zajęli miejsca oficerowie polscy, brytyjscy i amerykańscy oraz delegacje oddziałów. Na zdjęciach moment dekoracji Gen. Sir Harolda Alexandra i Gen. Sir Oliver Leese'a przez Naczelnego Wodza Gen. Broni K. Sosnkowskiego

# BITWA O ANCONĘ

KORESPONDENCJA WŁASNA „PARADY”

ROMAN FAJANS

Jeszcze w nocy z niedzieli na poniedziałek nie byliśmy pewni, czy natarcie na Anconę rozpocznie się o świcie następnego dnia. Wiedzieliśmy, że wszystko jest przygotowane i bitwa rozpocznie się lada chwila. Wieczorem jednak w Porte San Giorgio, gdzie znajdowała się Kwatera Prasowa, zaczęło poszeptywać, że natarcie odłożono do wtorku. Do późnej nocy nie udało nam się uzyskać potwierdzenia, ani zaprzeczenia. Dowiedzieliśmy się za to, że potężne kolumny naszych czołgów przerzucone zostały nocą, w największej tajemnicy, z prawego skrzydła na lewe. Zapoznaliśmy się też z ogólnym planem akcji, polegającej na natarciu w kierunku północnym, ku morzu,

co w razie powodzenia doprowadziłoby nasze siły do wybrzeża na północo-zachód od Ancony i odcięło oddziały nieprzyjaciela, znajdujące się w Anconie i jej najbliższych okolicach.

W poniedziałek rano z pierwszego rzutu zatelefonowano: „jechać!”. Znaczyło to, że akcja rozpoczęła się o świcie. Niebawem dowiedzieliśmy się szczegółów. Natarcie wyszło ze wzgórz na odcinku od północo-zachodu do północno-wschodu od Osimo, w kierunku północnym do morza, i poprzedzone zostało intensywnym atakiem powietrznym RAFu na pozycje nieprzyjaciela oraz silnym ogniem naszej artylerii. Pierwsze wiadomości były dobre. Zdobyto szereg u-

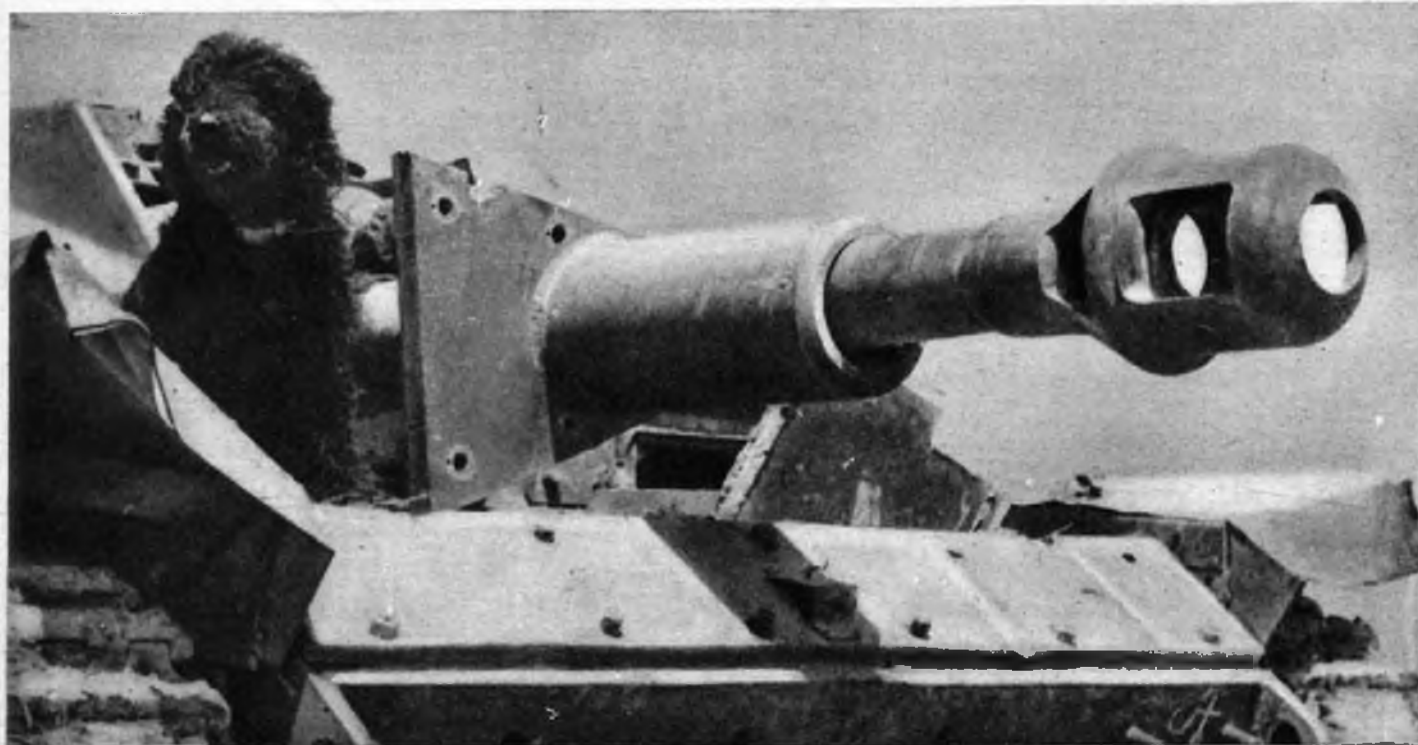
mocnionych pozycji niemieckich, posunięto się naprzód o parę kilometrów i wzięto sporo jeńców.

Wyruszyliśmy natychmiast na linię frontu. Było nas czterech korespondentów, sami Polacy. Korespondenci zagraniczni udali się oddzielnie na inne odcinki frontu. My skierowaliśmy się ku Osimo. Droga ku temu gniazdu górskiemu, wiedzie przez Loreto, ciężko doświadczony, na parę nocy przedtem, przez silny atak bombowy „Luftwaffe”. Szczególnym celem tego ataku była słynna bazylika Loretańska.

Już w Loreto słychać było niedaleki huk dział. W miarę jak zbliżaliśmy się do Osimo, koncert artylerii potęgniał

z każdą chwilą. Pędem przejechaliśmy serpentyny, prące się ku górze i wiodące ku Osimo. Trzeba było się spieszyć, gdyż droga ta była wystawiona na ostrzał artylerii. Jechaliśmy z przednią szybą jeep'a spuszczoną i zasłoniętą kocami. Nie trzeba, by odbijało się w niej słońce i zdradzało naszą obecność punktom obserwacyjnym wroga. Na dole, wśród rozległej równiny, rozpętało się istne piekło ognia naszej artylerii. Miarowo, regularnie biją baterie ciężkich i polowych dział.

Osimo jest niemal zupełnie wyludnione. Od czasu do czasu jakaś cywilna postać ludzka przemyka się szybko i lękliwie pod ścianami domów. Tu i ówdzie



NASZA OKŁADKA



Wojska brytyjskie w uwolnionym Bayeux. Na dalszym planie średniowieczna katedra

Fot.: British Ministry of Information



Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Władysław Anders na wysuniętej pozycji pod Ancón

grupka ludzi skupiła się przed bramą i uważnie nasłuchuje koncertu dział. Rano miasto było silnie ostrzeliwane przez artylerię niemiecką i nieliczni pozostali mieszkańcy kryją się po domach. Wszystkie sklepy zamknięte. Na murach afisze z napisami: „W. le Truppe Alleate. W. la Divisione Polacca”. Na ulicach spotykamy sporo żołnierzy z Dywizji Karpackiej. Na jednym z placów — grupka jeńców niemieckich. Wzięto ich zaledwie przed godziną. Sami prawie Ukraińcy i tylko jeden podoficer Niemiec. Należą do „Ost-Bataillon'u”.

Po chwili podchodzi do nas paru oficerów Karpackiej. Witają się i jeden

„Zęby” czołgów...

oświadcza ze śmiechem: „Przed chwilą żołnierze, zaniepokojeni obecnością panów, zwrócili nam uwagę na was. — Kręcą się tu jacyś ludzie, — zakomunikowali — mówią po polsku, mają orzełki na czapkach, ale to nie żołnierze...”. Proszą nas do dowódcy Dywizji, generała D., który właśnie w Osimo ma swą kwaterę i stąd kieruje operacjami.

Kwatera generała D. znajduje się w starym pałacu biskupim, obok katedry, której piękne płaskorzeźby są chronione przez worki z ziemią. W obszernej sali na pierwszym piętrze znajdujemy kilku oficerów, obłożonych mapami. To oddział operacyjny. Bezustannie dzwonią



Polskie czołgi, „gdzieś nad Adriatykiem”, w zdobytym miasteczku

telefony, wciąż przybywają gońcy z meldunkami. Obok pięknych foteli, starych stołów i rzeźbionych komod, leżą plecaki, rewolwery i hełmy. Za purpurowymi firankami znajduje się szafa z relikwiami.

Oficerowie objaśniają nam sytuację. Akcja rozwija się pomyślnie. Czołgi wykonały od rana doskonale robotę i wysunęły się znacznie naprzód. Piechota podąża za nimi. Opór był miejscami dość silny, lecz został szybko złamany. Opanowano szereg pozycji niemieckich, wzgórz i miasteczek. Ogień artylerii nieprzyjacielskiej jest raczej słaby. Jeńcy tłumaczą to tym, że ataki RAFu i ogień naszej artylerii tak dalece zdezorganizowały łączność, że obserwatorzy nie mogli komunikować się z bateriami. Oficerowie pokazują nam na mapie punkty już zdobyte i te, o które obecnie toczy się walka.

Po chwili ukazuje się generał D. Rozmawia z nami, odpowiada na parę pytań i prosi oficerów, by pokazali nam panoramę bitwy, widać ją z pałacu doskonale. Nagle przybywa nowy gońiec i melduje generałowi o zdobyciu, przed chwilą, ważnego wzgórza Monte Crescia.

W sali pałacu, w której znajdujemy się, są dwa wielkie okna. Oba zastąpione są grubymi firankami. Z jednego z tych okien mamy oglądać pole bitwy. Po jednym klękamy przy oknie wraz z jednym z oficerów i patrzymy przez lornetkę. Widok jest wspaniały. Mamy przed sobą coś w rodzaju żywej, plastycznej mapy, na której studiować można wszystkie operacje, jakie przeprowadzono od świtu. Po kolei pokazuje nam poszczególne wzgórza i miasteczka, już zdobyte, te, o które toczy się obecnie bój, i te, które są jeszcze dotychczas w rękach wroga. Nasze działa grzmiają bezustannie. Sporadycznie i słabo odpowiada im artyleria niemiecka, chwilami jednak daje się i ona we znaki. Nadszedł właśnie meldunek, że przed chwilą nieprzyjaciel obłożył silnym i celnym ogniem jedno ze wzgórz, z których wyszło nasze natarcie.

Wzgórze to położone jest tuż obok Osimo.

Pozostajemy jeszcze jakiś czas w pałacu. Wiadomości są coraz lepsze. Opór zaczyna się wyraźnie łamać. Jest nadzieja, że do wieczora oddziały nasze przebędą połowę drogi do morza. Nieprzyjaciel — je coraz widoczniejsze oznaki zaniepokojenia z powodu możliwości oskrzydlenia go i odcięcia. Nie jest wykluczone, że nocą będzie próbował wycofać się. Trzeba zapobiec temu i posunąć się dziś jaknajdalej. Jeńców wzięto już ponad pięciuset. Niektórzy poddają się odrazu, inni walczą do ostatka i składają broń dopiero wówczas, gdy sytuacja staje się zupełnie beznadziejna.

Jedziemy dalej, tym razem do Dywizji Kresowej. Tu nie ma już góry, miasta ani pałacu biskupiego. Dowództwo Dywizji rozmieściło się w szczerym polu, pod samym miasteczkiem Moniefano, w namiotach i wozach. Wchodzimy do wozu operacyjnego. Wszystkie ściany zawieszono są mapami. Na mapach przesuwa się chorągiewki. Na celowanie, pokrywającym mapy, oficerowie kreślą czerwonymi i niebieskimi ołówkami kółka, krzyżyki i skomplikowane linie. To ruchy oddziałów. Akcja idzie dobrze. Ogień artylerii jakby zelżał nieco, opór słabnie.

Na folwarku, tuż obok dowództwa, gromadzą jeńców. Jest ich już około stu, a wciąż przywożą nowe partie. Nie ma Ukraińców, ani Rosjan. Sami Niemcy z 278. dywizji generała Hoppe. Jest kilku oficerów i sporo podoficerów. Wyglądają znacznie lepiej, niż ci z „Ostbataillon'u”, ale też nie zawsze świetnie. Mundury bardzo różnorodne, twarze wymizerowane. Mówią mało i niechętnie. Jest wśród nich dwóch Polaków, jeden Ślązak, drugi Pomorzanie. Oddzielono ich natychmiast od innych jeńców. Leżą z naszymi żołnierzami pod namiotem i kurzą papierosa. Są szczęśliwi.

Jedziemy do brygady czołgów. Jest ona silnie wysunięta ku przodowi i droga do niej daleka. Przejżdżamy przez okolice, po których widać wyraźnie, że dopiero co były polem bitwy. Wzdłuż trzeciorzędnej szosy, po której mknie nasz Jeep, rozstawione są co paręset metrów tablice z napisem ostrzegawczym: „Uwaga! Droga pod ostrzałem nieprzyjaciela”. My jednak nie odczuwamy jakos tego ostrzała. W ogóle, ogień artylerii cichnie coraz wyraźniej. Spotykamy ciężarówkę, na której przykryty kocem, leży zabity żołnierz. Inny wóz wiezie kilku rannych.

Dowództwo brygady czołgów kwatruje w polu, obok dowództwa jednego z najlepszych pułków brytyjskiej kawalerii zmotoryzowanej. Obie jednostki odznaczyły się wybitnie w ciągu dzisiejszego dnia. Zatrzymujemy się chwilę u Anglików i podążamy do „naszych”. Wyciągamy z pod kopy siana śpiącego oficera informacyjnego. Stary to znajomy i wielki przyjaciel korespondentów wojennych. Po nieprzespanej nocy i trudach dziennych zdrzemnął się ledwie, a już natrętni dziennikarze przerwali mu zasłużoną chwilę odpoczynku... Por. S. nie zdrędzł jednak. Wita nas serdecznie i chętnie dzieli się wrażeniami. Jest ogromnie za-

Towarzysze pancerni wkładają do jednego z nadmorskich miasteczek





Wzięci przez nas Niemcy jeńcy



Czołgi w akcji

Nasza piechota naciera... w głębi rozbity niemiecki czołg

dowolony z wyników dzisiejszej akcji, tak samo zresztą, jak i jego koledzy.

Dowiadujemy się, że rano, gdy prześluchiwano pierwszych jeńców, m. p. dowództwa brygady obłożone zostało silnym ogniem artylerii niemieckiej, który na szczęście, nie wyrządził prawie żadnych strat. Obecnie jest cicho. Zbliża się wieczór. W akcji nastąpiła krótka przerwa. Nie będzie jednak długo trwała, chodzi bowiem o to, by nie dać Niemcom ochłonąć i przegrupować się po dzisiejszej porażce.

Poszczególne czołgi wracają z akcji. Żołnierze są zmęczeni, zakurzeni, ale rozradowani. Wiedzą, że odnieśli duże zwycięstwo. Na obszernej polanie grupują przywiezionych jeńców. Znowu ten sam widok, co w Kresowej. Sami Niemcy, sporo podoficerów. Oficera żadnego nie znajdują. Spisują ich, sprawdzają dokumenty i ekspedują dalej. Jest ich sporo, znowu kilkudziesięciu. Zapada wieczór. Wiemy już, że bitwa o Anconę jest wygrana. Chodzi tylko o to, czy zajmiemy samo miasto jutro, czy pojutrze i ilu weźmiemy jeszcze jeńców.

Ancona została zajęta nazajutrz, we wtorek, o godz. 14.30. Po krótkiej walce z tylnymi strażami wycofujących się wojsk niemieckich pierwszy wkroczył do miasta Pułk Ułanów Karpackich. Nieliczna, pozostała w mieście, ludność zgotowała ułanom naszym gorącą owację. Były kwiaty i wino, wiwaty i przemówienia na ratuszu. Gdy jednak minęły pierwsze chwile upojenia, zaczęła szczyrzyć zęby ponura rzeczywistość. Z pięknej i ludnej Ancony nie wiele pozostało.

Kiedy przyjechałem do miasta, byłem uderzony jego żalosnym wyglądem. Ulice były puste, wyludnione. Ze stu blisko tysięcy mieszkańców pozostało zaledwie siedem—osiem tysięcy. Reszta uciekła. Cała część miasta, bliższa portu, przedstawia smutny widok swych ruin i zgliszcz. Całe szeregi wielkich bloków mieszkalnych są zupełnie rozwalone przez bomby. Port jest całkowicie zniszczony i zablokowany. Bardziej oddalona, nowoczesna i reprezentacyjna część miasta ucierpiała mniej, ale i tu rzadko spotyka się kogoś z mieszkańców. Wszystkie bez wyjątku sklepy są zamknięte, lub rozbite i ograbione. Na ścianach domów widać afisze z nagłówkami: „Forze armate Tedesche” (Niemieckie siły zbrojne), a obok nich obwieszczenia: „Polizia Militare Polacca” (Polska Policja Wojskowa).

Na głównym placu miasta, Piazza Cavour, powiewa polska chorągiew biało-czerwona. Na tymże placu jacyś żartownisie umieścili na cokole dużą puszkę do zbierania ofiar, a na niej głowę Mussoliniego z brązu. Ex-Duce trzyma między wargami niedopałek papierosa. Na puszcze umieszczono napis: „Un disoccupato — al Vostro buon cuore” (Bezrobotny odwołuje się do waszego dobrego serca).

Liczne domy w Anconie podminowane zostały przez Niemców i dostęp do nich jest wzbroniony. Większość ulic również nie jest bezpieczna i ruch samochodowy odbywa się tylko po kilku, ściśle znaczo-nych arteriach. Posuwają się po nich kolumny wozów polskich. Kierują się wszystkie ku północo-zachodowi, po nowe zwycięstwa.



Piechota „dojeżdża” na czołgach pod Anconę

Zdobyta przez 2 Korpus Polski — Ancona



Mp. do. 11.11.1943



**WOJENNY SĄD SPECJALNY NR 10.**  
PROKURATURA  
Sprawa Nr. 10/43

Do: Franz Rötter  
Wd. Lwów

SONDERKRIEGSGERICHT Nr 10.  
STAATSANWALTSCHAFT  
Aktenzeichen 10/43

## Zawiadomienie

Pismem z dnia 11.11.1943 r. został Pan zawiadomiony o wszczęciu przeciwko Panu śledztwa w związku z działalnością na szkodę Narodu i Państwa Polskiego oraz jego Obywateli. Śledztwo potwierdziło w całej rozciągłości słuszność stawianych Panu zarzutów. Wobec powyższego, na mocy art. 10 Polskiego Kodeksu Odwetu Wojennego zostało przeciwko Panu wdrożone postępowanie sądowe. Sprawa zostanie rozpatrzona przez Wojenny Sąd Specjalny NR 10.

O wyroku zostanie Pan osobno powiadomiony.




## Benachrichtigung

Mit unserem Schreiben vom 11.11.1943 wurden Sie von der Aufnahme eines Untersuchungsverfahrens gegen Sie wegen Ihrer Tätigkeit zum Schaden des Polnischen Staates und Volkes und der polnischen Staatsbürger benachrichtigt. Die Erhebungen haben die gegen Sie gerichtete Anklage im vollen Umfang bestätigt. Auf Grund dessen ist laut Artikel 10 des POLNISCHEN VERGELTUNGS-KRIEGSGESETZES das Gerichtsverfahren gegen Sie eingeleitet worden. Die Angelegenheit wird vor dem SONDERKRIEGSGERICHT Nr 10 verhandelt werden.

Das Urteil wird Ihnen zugestellt werden.

Mp. do. 11.11.1943



**WOJENNY SĄD SPECJALNY NR 15.**  
Rejestr Podejrzanych  
Sprawa Nr. 15/43

Do: Carl Fimmel  
W. Lwów

SONDERKRIEGSGERICHT  
VERDÄCHTIGENREGISTER  
Aktenzeichen

## Ostrzeżenie

Postępowanie Pana w stosunku do Polaków jest niewłaściwe. Wojenny Sąd Specjalny Nr 15 otrzymał w tej sprawie informacje, na podstawie których został Pan wpisany do rejestru podejrzanych pod Nr 15. Od chwili tej zachowanie się Pana i najbliższych osób zostanie poddane ścisłej obserwacji. Jeśli obserwacje te wykażą, że działa Pan na szkodę Państwa i Narodu Polskiego, postępuje niewłaściwie, wyryskuje lub prześladowa Polaków — zostanie przeciwko Panu wytoczona sprawa w zwykłym skróconym trybie postępowania Wojennych Sądów Specjalnych.

Wojenne Sądy Specjalne orzekają kary od konfiskaty majątku począwszy, aż do kary śmierci włącznie. Stosują one również zasadę odpowiedzialności zbiorowej i rodzinnej, praktykowaną oddawna przez Niemców wobec Polaków.

## Verwarnung

Ihr Verhalten den Polen gegenüber ist zu beanstanden. Das SONDERKRIEGSGERICHT Nr 15 hat folgende Informationen erhalten, auf Grund deren Sie in das Register der Verdächtigen unter Nr 15 eingetragen worden sind.

Von nun an wird sowohl Ihr Verhalten, als auch das Ihrer Nächsten einer strengen Kontrolle unterworfen werden. Wenn diese Beobachtungen den Verdacht bekräftigen sollten, dass Sie zum Schaden des Polnischen Staates und Volkes tätig sind, aus Ihrer Stellung den Polen gegenüber Nutzen ziehen, Polen Unrecht zufügen, oder falls überhaupt Ihr Verhalten Polen gegenüber Grund zu Beanstandung gibt, wird die Anklage gegen Sie im verkürzten Verfahren vor dem SONDERKRIEGSGERICHT erhoben werden.


Die SONDERKRIEGSGERICHTE verhängen Strafen von Vermögensentziehung bis zur Todesstrafe. Auch die Kollektiv- bzw. Familienverantwortlichkeit wird zur Anwendung gebracht, wie dies deutschseits den Polen gegenüber längst üblich geworden ist.

# W Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...

W prasie całego świata często ukazują się wiadomości, że w okupowanej Polsce zabity został przez niemalże wszystkich sprawców urzędnik Gestapo, donosiciel, prowokator, lub niemiecki dygnitarz. Zabójstwa tych ludzi dokonywane są w najbardziej różnych okolicznościach: w biały dzień na ulicy, w restauracji, w tramwaju, lub pod osłoną nocy we własnym mieszkaniu przestępcy. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że zamachy te są aktem rozpaczy, odruchem prywatnej zemsty, lub osobistych porachunków. Wręcz

przeciwnie są one wynikiem zorganizowanej akcji, są egzekucją wyroków zapadłych na posłedzeniach władz sądowych Polski Podziemnej. Sądownictwo polskie ferujące wyroki w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, wymierza sprawiedliwość po rozpoznaniu sprawy z zachowaniem przepisów prawnych. Reprodukowane przez nas obok dokumenty, świadczą wymownie, że żaden zbrodniarz przeciwko Państwu i polskiej ludności nie ujdzie zasłużonej kary.

Mp. do. 11.11.1943



**WOJENNY SĄD SPECJALNY NR 7.**  
Sprawa Nr. 7/43

Do: Carl Fimmel  
W. Lwów

SONDERKRIEGSGERICHT Nr 7.  
Aktenzeichen

## WYROK


Wojenny Sąd Specjalny NR 7 obradował na posiedzeniu w 11.11.1943 r. w sprawie oskarżonego zamieszkałego i na mocy artykułów 10 Polskiego Odwetu Wojennego uznał go winnym zgodnie z oskarżeniem.

Na mocy powyższych artykułów zastosował Wojenny Sąd Specjalny w stosunku do oskarżonego za jego działalność na szkodę Państwa i Narodu Polskiego karę:

Wyrok powyższy będzie wykonany w odpowiednim terminie przez Wydział Wykonawczy.

Wyrok jest ostateczny i nie podlega przedawnieniu.

W wypadku, gdyby oskarżony próbował się uchylić przed wymiarem kary — zostanie zastosowana zasada zbiorowej i rodzinnej odpowiedzialności, oddawna stosowana przez Niemców wobec Polaków.



## URTEIL

Das SONDERKRIEGSGERICHT Nr 7 verhandelte in der Sitzung vom 11.11.1943 in Sachen des Angeklagten und hat ihn auf Grund der Artikel 10 des POLNISCHEN VERGELTUNGS-KRIEGSGESETZES gemäß der Anklage für schuldig befunden.

Auf Grund der eben angeführten Artikel verhängte das SONDERKRIEGSGERICHT über den Angeklagten die seine zum Schaden des Polnischen Staates und Volkes gerichtete Tätigkeit

Obiges Urteil wird zu einem entsprechenden Termin durch eine Vollzugsabteilung ausgeführt werden.

Das Urteil ist endgültig und unterliegt nicht der Verjährung.

Falls der Angeklagte sich der Urteilsvollstreckung zu entziehen versuchen sollte, wird der Grundsatz der Kollektiv- bzw. Familienverantwortlichkeit zur Anwendung kommen, wie er seit langen von den Deutschen den Polen gegenüber angewandt worden ist.

Mp. do. 11.11.1943



**WOJENNY SĄD SPECJALNY NR 7.**  
PROKURATURA  
Sprawa Nr. 7/43

Do: Carl Fimmel  
W. Lwów

SONDERKRIEGSGERICHT Nr 7.  
STAATSANWALTSCHAFT  
Aktenzeichen

## Przypomnienie

Na mocy postanowienia Wojennego Sądu Specjalnego Nr 7 z dn. 11.11.1943 r. zgodnie z artykułami 10 Polskiego Odwetu Wojennego za działania na szkodę Polskiego Narodu i Państwa został Pan skazany na śmierć.

Niniejszym przypominamy Panu o powyższym. Wyrok zostanie wkrótce wykonany. Ostatnio zostały wykonane wyroki śmierci na następujących skazanych przez Wojenne Sądy Specjalne:



## Mahnung

Auf Grund des Beschlusses des SONDERKRIEGSGERICHTS Nr 7 vom 11.11.1943 gemäß Artikel 10 des POLNISCHEN VERGELTUNGS-KRIEGSGESETZES sind Sie wegen Tätigkeit zum Schaden des Polnischen Volkes und Staates zum Tode verurteilt worden. An Obiges werden Sie hiermit erinnert. Das Urteil wird in Kürze vollstreckt werden. An Folgenden durch das SONDERKRIEGSGERICHT Verurteilten ist letzters das Todesurteil vollzogen worden:

# W SZPITALU U CIĘŻKO RANNYCH

Wyciągnięte na prześcieradle ręce wybijają palcami takt tego kujawiaka, który szumi teraz i śpiewa w baraku szpitalnym, wybijają mechanicznie, bo twarz żołnierza, młodego chłopca nie zdradza najmniejszego wstuchania się w taneczną melodię; jest poważna, skupiona, i ściągnięta w jakimś napięciu. Tylko ręce są żywe, bo nogi leżą martwe, jedna obandażowana, druga — skrócona. Inne łóżko znaczą unieruchomione ręce, na innym głowa w gipsie...

Oczy wszystkich żarliwie, beznamyślnie lub krytycznie wchłaniają obraz orkiestry kolegów-żołnierzy i ochotniczek, grających i śpiewających tylko dla nich, ciężko rannych. Wchłaniają obraz, w którym jest ruch i nieskrępowane życie, wchłaniają tę urodę życia, która teraz ich boli, ale i przyciąga, — której nie chcą się pozbyć. Wieczorem w sali przedstawienie tego samego zespołu (O. Z. A. — żołnierze i ochotniczki), dla chorych i rannych, którzy mogą już chodzić. Reakcja wydaje się podobna. Poprzez ból i gorzkość porównań, wspomnień z czasu tak niedawno dochodzi do głosu uśmiech, czasem i śmiech, następuje — powrót do życia, powrót jeszcze częściowy, ale tak ważny.

Ważny dla nich, rannych na froncie żołnierzy polskich, ważny i dla nas, dla społeczeństwa.

Wojna nie kończy się na froncie, nie wyczerpuje się w natarciach i obronach. O wojnę ocieram się nieustannie, przechodząc baraki i namioty szpitalne, stając z nią oko w oko, kiedy widzę naszych chłopców okaleczonych, tych, którzy kolegom ścigającym dziś Niemców drogę urotowali. Te rany, dręczące ciało, dręczące i duszę, — uderzają we wszystko, co zasnęło w wygodach, co owijało się we frazesy; i także — budzą całą naszą polskość, budzą — obowiązki. O tym pomyśleć. Bo nie o litość!

O tych rannych nie mogę pisać, ani mówić z litością. Naprawdę: nie ogarnia mnie żadna litość, kiedy ich widzę, jak kuśtykają, jadą na wózkach, jak patrzą, patrzą na innych, tych zdrowych i swobodnych. NA TO litość jest za mała, płaska, nie wystarczająca, jest i niewłaściwa. A w ogóle — niegodziwa. Raczej wyłazi żal do siebie, że tam nie byłem, gdzie oni, żal i wstyd bezrozumny za moje całe ręce i nogi. Jest i duma, która w nich widzi Polskę, jej gwarantów. Patrząc na rannych żołnierzy przede wszystkim jak na obywateli najbardziej wartościowych, których bolesne i ciężkie znamię wojny nie potrafi wyeliminować ze społeczeństwa, z pełnego udziału w jego życiu.

Tego właśnie pragną i oni. Chcą wiedzieć to u innych, i poczuć w sobie tę świadomość własnej przydatności, świadomość celu życiowego. Trzeba im nie litości, nie tyle filantropii zawodowej, co słowa serdecznego, uśmiechem wesółym zaprawionego, co pomocy w najszybszym i pełnym powrocie — znowu do życia.

Mają to ułatwić, pomagając im w przetwarzaniu pierwszego, najgorszego okresu, liczne imprezy, urządzone w szpitalach kilka razy tygodniowo. Odczyty, wieczornice i koncerty z płyt gramofonowych oraz występy zespołów zamiejscowych. Koncertowała już kilkakrotnie orkiestra jazzowa O. Z. A., która razem z ochotniczkami „Ozetu” zaprezentowała miłą

rewię; z pięknym pokazem tanecznym wystąpiły drajwarki z transportówki, były zespoły saperów i Kwatery Głównej APW, przyjechali nawet Włosi.

Dużą przyjemnością dla rannych są stałe wizyty, składane przez delegacje wszystkich oddziałów wojskowych, zwłaszcza ochotniczki zjawiają się nie tylko z paczkami, kwiatami, ale przede wszystkim z ciepłym, serdecznym słowem i uśmiechem. Z Palestyny przyjechało specjalnie kilkanaście młodszych ochotniczek. Świeżo zaopatrzone są w dzienniki i czasopisma, jest też wiele biblioteczek ruchomych. Z pomocą przychodzi również P. C. K. oraz Welfare Katolicki.

Właściwa jednak, bo długofalowa pomoc, dotyczy przygotowywania już dziś rannych do czynnego życia, ułatwienia im przyszłej pracy zawodowej. Rozpisane wśród nich ankiety stwarzają rodzaj poradnictwa zawodowego. Bada się dotychczasowe wykształcenie, zainteresowania i możliwości każdego, opierając na tej podstawie program dokończenia wykształcenia na dookończenie szkół w ramach szkolnictwa junackiego. Dla niektórych odbywa się już teraz, w szpitalu, kurs przygotowujący do egzaminu na majstrów i czeladników. Inni znów wezmą udział w warsztacie stolarskim oraz w zorganizowanym kursie galanterii skórzanej, kierowanym przez instruktorów, również inwalidów, wyszkolonych w Anglii. Równoległe do tego rozpoczyna się nauka introligatorstwa, poza tym przygotowuje się kursy — handlowy, m. in. pisanie na maszynie i stenografia, techniczno-dentystyczny, fotograficzny i pszczelarski. Brak instrumentów muzycznych uniemożliwia, jak dotąd, zainteresowanie rannych muzyką.

W miarę możliwości nastąpi wykorzystanie inwalidów wojennych w pracowniach szpitalnych, biurach wojskowych, we wszystkich tych zawodach, które otworzą się przed nimi dzięki troskliwemu przygotowaniu. W tym samym szpitalu jest zresztą żywy przykład siły woli i przydatności inwalidów. Kierowca bez ręki jest szefem „repu”, a w razie potrzeby kieruje samochodem równie pewnie, jak i przedtem.



Pierwsza pomoc na wysuniętym punkcie apatrunkowym

Przebywający w szpitalu ranni ogromnie interesują się tymi kursami. Pojmują trafnie znaczenie takiego przygotowania i czują, że tędy prowadzi ich droga powrotna do życia. Jeszcze trawi ich gorzkość, ale już tęci i życie. Niecierpliwia się, spieszą się, bardziej się spieszą, niż pozwalają im siły, odradzające się dopiero w powolnym leczeniu, na sali opa-

trunkowej, rentgenologicznej, w baraku szpitalnym.

Ograniczone przecież są także siły i możliwości tego szpitala, który tutaj, w Egipcie, stał się m. p. rannych, coraz liczniej przybywających z frontu włoskiego. To, o czym tak łatwo piszemy, cała akcja lecznicza i kształceniowa, dokonuje się dużym trudem personelu szpitalnego, nielicznego, więc przepracowanego. Zwłaszcza za mało jest sióstr sanitarnych, którym tylko poświęcenie pomaga w przewyciężaniu anormalnego stosunku rosnących zadań do małej ich liczby. Czy Polki, tkwiące jeszcze bezczynnie w życiu cywilnym, wezmą to sobie do serca i sumienia?

Kiedy wyjeżdżam ze szpitala, jest południe. Z głośników nadają dziennik południowy, padają nazwy Wilna, Nowogródka i Lwowa, Warszawy, zajętych lub zagrożonych przez nową nawałę. Uważnie słuchają chorzy, jeszcze pilniej ci ranni, z pod Cassino, Piedimonte, i już z pod Ankony. Bo cenę, może większą niż życie, już zapłacili, za tamtą daleką a najdroższą ziemię, za swój na niej dom.

Cała wojna nie miałaby sensu, gdyby ofiara jej rannych, inwalidów zamieniła się w krzywdę. Ich rany krzyczą — o sprawiedliwość.

Tadeusz Pniowski



Usyplenie rannego przed operacją

Trzy siostry sanitarne z Wilna, Warszawy i Lwowa



Miły uśmiech „siostrzyczek” kojące działa na rannych żołnierzy



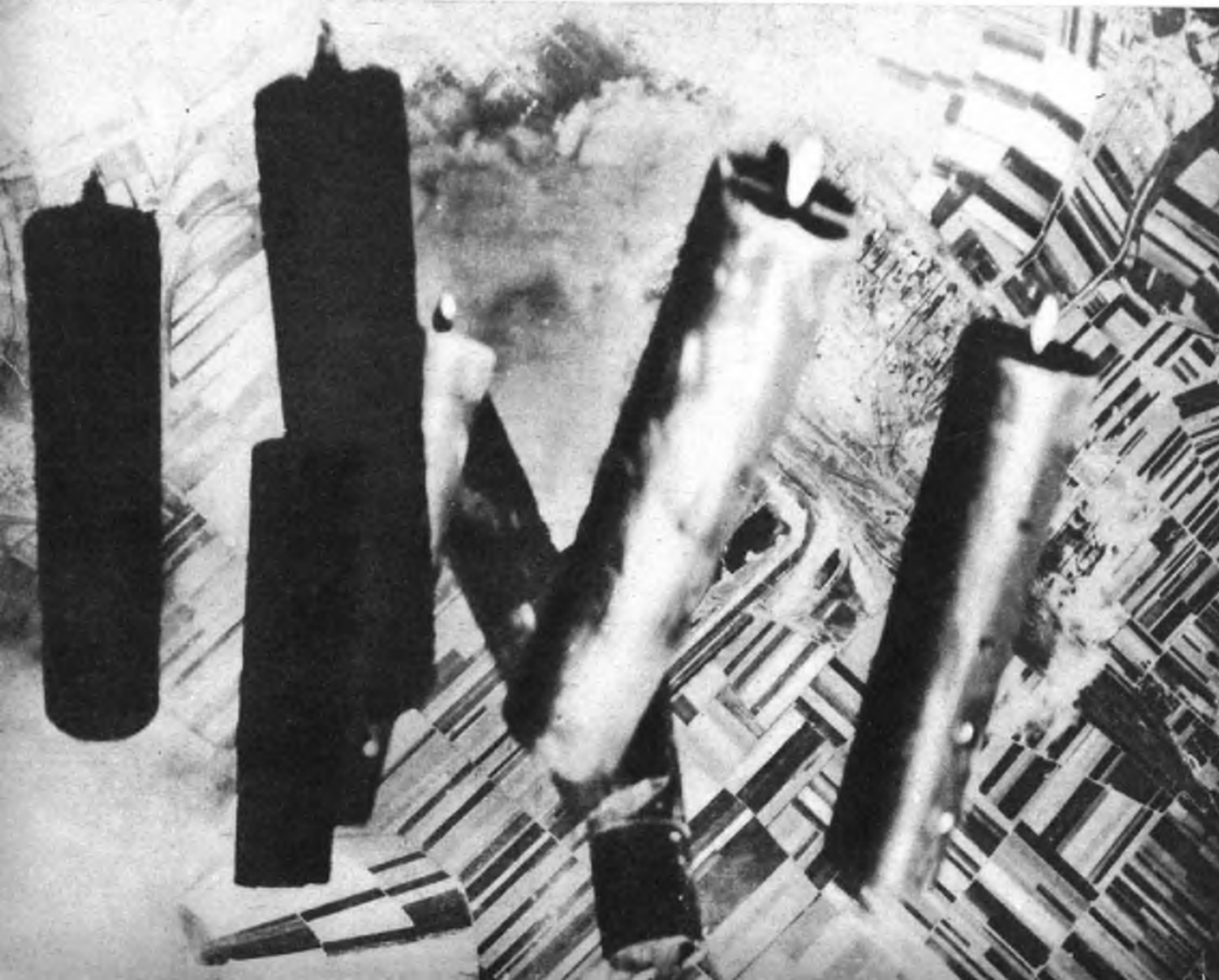


Szczęśliwy Cherbourg. Narodowe święto francuskie dnia 14 lipca obchodzone w uwolnionym Cherbourg radośnie i wesoło. Amerykańscy żołnierze tańczyli z pięknymi Francuzkami na placach i ulicach przy dźwiękach orkiestr wojskowych.



Wojna propagandowa w pełnym toku. Oto wnętrze jednej z wielu drukarni polowych, „gdzieś w Normandii”, z gotowymi do ekspedycji ulotkami na pierwszym planie. Ruch podziemny we Francji tą drogą otrzymuje wiadomości, a ludność cywilna instrukcje i ostrzeżenia.

Oto lecą na Niemcy „bomby” propagandowe. Specjne bomby, zawierające interesujące lekturę, spadają z amerykańskiego bombowca na Merseburg. Każda bomba zawiera tysiące ulotek, przy czym „bomby” są tak skonstruowane, że lektura dochodzi do rąk adresata w stanie nie uszkodzonym.



Marynarka angielska odegrała wielką rolę w operacjach inwazyjnych w Normandii, a następnie wspierała armie lądowe w natarciach na umocnienia niemieckie, ciągnące się wzdłuż wybrzeży. Oto jeden z pancerników brytyjskich w czasie nocnego ciężkiego ostrzeżenia.



Oto niemiecki „sniper”, czyli strzelec wyborowy SS na kolumnie. Ukryty w ruinach, skatach i kamieniu, zaopatrzonej w lunetę, do pojedynczych strzałów. Strzelec ten posiadał specjalne wykształcenie i większość...



Oto 16-cio calowe działo niemieckie zmontowane na specjalnej platformie. Całość stała się po szynach kolejowych, umieszczonych w wybetonowanym rowie. Działo to miały unieszkodliwić floty Sprzymierzonych na Kanale angielskim.



Oto część składów zdobycznego uzbrojenia. Amerykańscy specjaliści sortują zdobytą niemiecką broń. Większość z nich jest w doskonałym stanie i nadaje się do natychmiastowego użytku.

# FILM inwazyjny

„Jest nas 60 tysięcy w... amerykańska, która wrac... nie do Normandii. Anielskie siostry Czerwonego Krzyża są na wszystkich frontach, a wiele z nich już poległo.”

— może powiedziec ta roześmiana siostra... siostrę swoich kolegów przybyła właśnie... siostry Czerwonego Krzyża są na wszystkich frontach, a wiele z nich już poległo.”

Ruiny, 800 lat liczącego, Opactwa w Ardenne w pobliżu Caen. Żołnierz brytyjski z palcem na języku spustowym potuluje cierpliwie na jednego z tzw. „strzelców wyborowych”.



W dniu święta zburzenia Bastylli kilka francuskich dziewcząt utraciło włosy. Dziewczęta, oskarżone o współpracę z Niemcami, zostały publicznie ostrzyżone na jednym z placów Cherbourg. Zdjęcie przedstawia wymiar tej dziwnej i przykryj kary.

Japoński ochotnik w armii niemieckiej, wzięty do niewoli w walkach pod Caen.

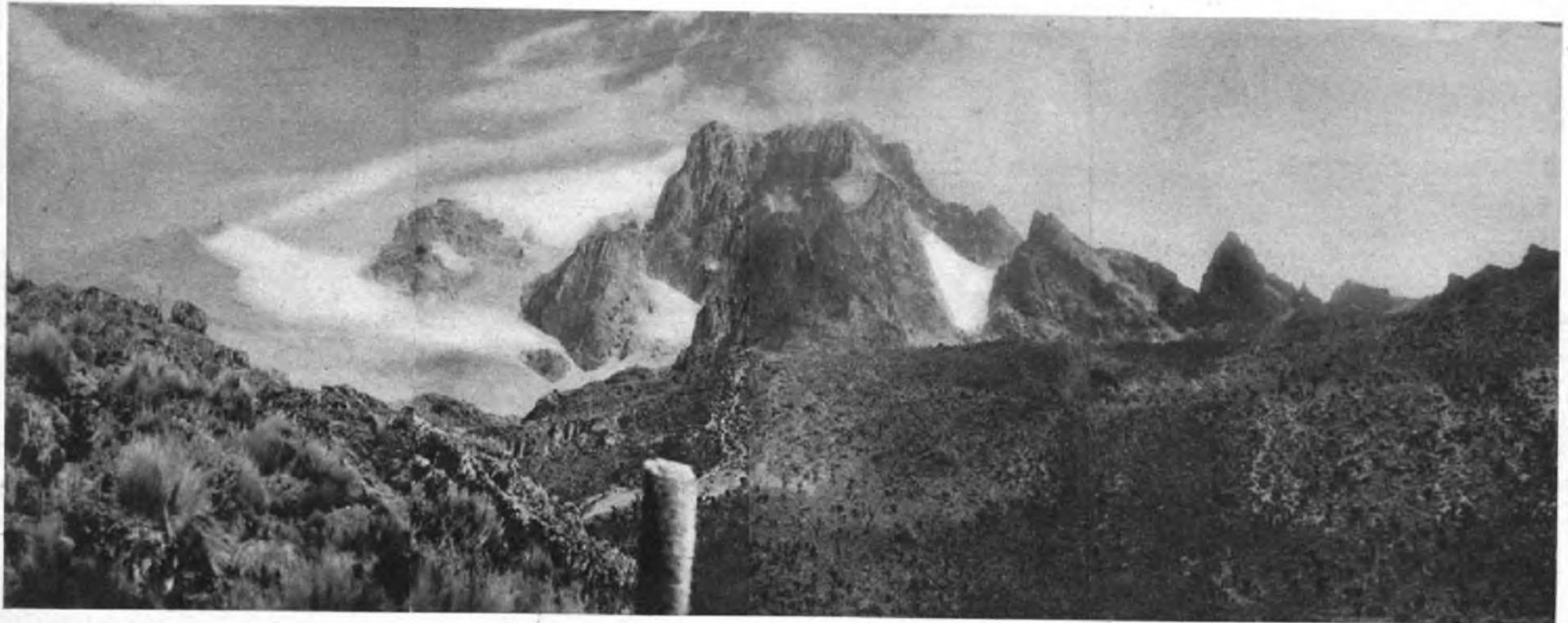


Święto amerykańskie, w dniu 4 lipca, uczczono salwą ze wszystkich amerykańskich dział, czynnych na froncie w Normandii. Gen. Omar N. Bradley, Dowódca I. Armii Amerykańskiej, oddaje honorowy strzał z 155 mm „Long Tom”. Jeszcze nigdy tak „hucznie” nie obchodzili Amerykanie swego narodowego święta.





# ŁODOWCE NA RÓWNIKU



W środku Batian i Nelson, ostatni po lewej szczyt Lenana

Każdego poranka, kiedy „boy” Karyuki budzi mnie gorącą herbatą, zrywam się szybko i biegnę ją podziwiać. Potężna wynurza się z mgieł i oparów; ubielona śniegiem na szczytach i lodowcami zdobna — Kenya. Przed laty nie uwierzono misjonarzowi Knapfowi, pierwszemu białemu człowiekowi, który ujrzął tę górę. Czcigodnym geografom europejskim nie mieściło się w głowach, że na równiku mogą być śniegi i lodowce.

Dzisiaj myślę tylko o niej, o Kenii, i tym żyję przez ostatnie dni, poprzedzające mój urlop. Niepewność i zmieniające się wypadki działają mi na nerwy. Na list do właścicieli hotelu Silverbeck w Nanyuki, z prośbą o ułatwienie ekspedycji w góry, otrzymuję odpowiedź, że program mój jest zbyt ambitny jak na wojenne czasy. Tak odpowiada mi każdy: wojna, trudno — brak „poszo” (żywności) dla krajowców itd. Ukoronowaniem tych przeciwności jest rozkaz o przeniesieniu. Marzenia, cała praca przygotowawcza rozwiewają się, jak mara. Sprzyja mi jednak szczęście. Nowy dowódca akceptuje mój urlop i wreszcie ruszam pociągiem ku równikowi. Byle najprędzej dojechać i skryć się w lasy i góry... Co mi tam wojna! Nie czytam gazet, nie słucham radia, interesuje mnie tylko jedno: jak dostać się na szczyt Kenii?

## BAR NA RÓWNIKU

— Chcesz pójść na Kenię — powiada nasza miła maszynistka, pani Rodwell — to rozmów się z Bellfieldem, Dobbies. On wie wszystko, chyba, że nie będzie chciał wiedzieć.

Idę do Bellfielda. Jemy razem kolację. Po którejś tam whisky mówię mu:

— Drogi przyjacielu! Jesteś Szkot, w dodatku chłop morowy. Wiesz, że Polacy i Szkoci żyją teraz w przyjaźni. Zrób więc tak, abym dostał się na Kenię.

— Wszystko zrobię — mówi Bellfield, — ale ta Kenia... Daj jeszcze jedną whisky! To trudna sprawa. Wiesz co? Udaj się do Raymonda Hooka. On jeden może wszystko. Spróbuj...

Próbuje. Po drodze idę zobaczyć to cudo, które nazywają równikiem. Przebiega tuż koło drogi i jakichś koszar. Trochę dalej komandor Hook postawił sobie hotel, a na samym równiku — bar. Na niezbyt wysokim, żelaznym kiju ta-



Widok centralnej partii góry Kenii



Raymond Hook, Piotruś i autor

blica, i na niej napis „Równik”. Nabieram respektu dla tego równika, rozglądam się więc, czy jeszcze czego nie zobaczę. Ale nie! Taki ważny obiekt, koszary blisko, a tu ani „przejście wzbronione”, ani „fotografować nie wolno”. Zupełny brak szacunku dla równika.

Mam trochę stracha, idąc do raymondowej zagrody. Czy zechce mi pomóc ten kenijski „Orbis”? Układam sobie przemówienie, ale kiedy już jestem w zagrodzie farmera, przedstawiam się i zaczynam najprościej:

— Widzi pan, panie Hook, ja jestem mały człowiek bez znaczenia, ale widziałem już Ural, Sierra Nevada i Wysoki Atlas, nie mówiąc już o naszych polskich Tatrach i Gorganach, a ponieważ jestem nadto malkontent, więc chciałbym zobaczyć i waszą Kenię. Lubię góry i pan je lubi, a góry lubią odważnych ludzi. Jeżeli więc tak się lubimy, dlaczego miałby mi pan odmówić pomocy?

— Zobaczymy — powiada Raymond. Dalej rozmawiamy już o wojnie (robię dla niego ten wyjątek), o polityce i „tótym” niebezpieczeństwie.

## FARMER-POETA

Raymond Hook, jak mityczny cerber rozłożył się tuż u stóp góry Kenii i strzeże wejścia. Zagroda jego przypomina ogród botaniczno-zoologiczny. Czego tam nie ma? Trudno wyliczyć wszystko, ale wspomnę o jadowitych węzach, futerkowych Nutria i rybkach antymalarycznych.

Raymond, to poeta-farmer, uczonego-filozof, myśliwy, cowboy i wszystko, czego tylko zechcecie. Znany angielski ornitolog pułk. R. Meinertzhagen, tak o nim pisze: „Raymond Hook posiada nieprześcignioną znajomość góry Kenii i Aberdares. Bystry obserwator i przyrodnik zawsze pogodny, nawet w niebezpiecznych sytuacjach, traktuje wszystkich ludzi i zwierzęta, jako przyjaciół. Doskonały towarzysz. — Takim jest Raymond Hook z Nanyuki”.

Kto z podróżników i uczonych zawadzi o górę Kenię i o niej pisze, przed oddaniem swej pracy do druku, posyła rękopis Raymondowi do oświadczenia

się. Jest on również bohaterem powieści, a imieniem jego przewzano płaki i zwierzęta. Mężczyzna w sile wieku, wysoki blondyn z krótko strzyżoną bródką, przypomina postać „dobrego szeryfa” w filmach amerykańskich. Zajęciem Raymonda jest wypasanie bydła. Obecnie mało poluje i nie chodzi w góry. Powiada, że czasy się zmieniły i brak mu już sił. Do Kenii przybył przed laty, biedny jak mysz kościelna.

— Wszystko, co posiadam — zwierza się Raymond Hook — zdobyłem dawniej, kiedy myślistwo oplacało się, a za kość słoniową dobrze płacono. Z boyami i towarzyszką-strzelbą spędzałem dnie i noce w dżungli bambusowej, gdzie tropiłem zwierzynę. To był mój business. Raymond jest raczej skromny.

## W „LESIE DESZCZOWYM”

Słońce jest już dość wysoko, od gór wieje chłodny wiatr. Allan, Ken, Maurice i ja opuszczamy zagrodę Hooka. Przed nami poszedł tabor sześciu mułów i dwóch koni, prowadzony przez Alego z kilku boyami i dwoma „toto” (młodzi chłopcy). Na drzewie, przykuty łańcuchem siedzi duży szympansi i pali papierosa. Bestia żegna nas złośliwym uśmiechem.

Idziemy szeroką drogą pod wysokimi drzewami, mijając półnagie, czarne piękności. Po przekroczeniu Nanyuki River opuszczamy „kraj zamieszkały”, wchodząc w malowniczą, dziką okolicę. Pełno tu przepięknych motyli. Z trawiastych pampasów wkraczamy w lasy. Prowadzą nas ścieżki, wydeptane przez słonie, bawoły i nosorożce. Wszędzie widać świeże ich ślady. Na lewo i prawo nieprzebyte gąszcze dżungli. Ponad buszowate podszycie strzelają wysokie podocarpusy, juniperusy (cedry), drzewa kamforowe i ciemnoliściaste drzewa oliwne. Podszycie tworzą krzewy pachnących jaśminów, czerwono-złotawych, szaroliściastych ludelei i całej masy barwnie kwitnących roślin, które rosną tu jako krzewy. To jest już prawdziwy „Rain Forest” — las deszczowy, który otacza górę Kenię.

Skaczą po drzewach różne małpy, tu i ówdzie umykają w gąszcze dzikie koty i leopardy. Nad świergotem ptactwa góruje wrzask plantenitera (Turacus hartlaubi), który wędruje się po całym lesie w poszukiwaniu żeru. Ptasię to stworzenie posiada głos zupełnie nie harmonizujący z jego upierzeniem. Ow popularny wędząca lasów góry Kenii jest sławnym z innej jeszcze strony. Wspomniany już pułkownik Meinertzhagen opowiada, że dawniej, kiedy mieszkał Kikuyu (szczer na południowej stronie góry Kenii) szkarłatne pióra plantenitera były bardzo cenione. Raz w roku młode damy Kikuyów stroiły się w te pióra, upiększając swe włosy. Tak przybrane spełniały miłosne życzenia pierwszego, napotkanego młodzieńca. Denerwowało to purytańskiego komisarza dystryktu w Fort Hall, który w końcu przekonał szefa Kikuyów, że taki zwyczaj należy znieść. Pomimo zarządzenia, zabraniającego tych praktyk, czerwone pióra — powiada pułkownik Meinertzhagen — widywałem i później, po tym zakazie.

Idziemy dalej pod górę. Język przysycha do podniebienia, gorączka pali gardło, ale trzymamy się bez wody. Dopiero

Bydła Hooka u wodopoju





Góra Kenya, widoczna też tablica z napisem „Równnik”

podczas krótkiego odpoczynku pijemy słodkie mleko. Słońce chyli się do zachodu, kiedy dochodzimy do polanki, oddzielającej gęsty las od bambusów. Pod grubym drzewem „muniagando” rozkładamy się obozem na nocleg. Od strony gór przybywają hoye z mułami. Po wieczery Ken i Maurice stawiają namioty. Nastaje mrok.

Przy ognisku Alan opowiada, jak zdobywał główny szczyt Keni, powtarzając nazwy „zająca skała” i „ośli ślad”. Kładę się i spoglądam w niebo, oświetlone miriadami gwiazd. Wspaniały Orion z przypasany mieczem posuwa się po niebieskim równiku. Ileż to razy oglądałem go z Józkiem Markiewiczem podczas służby nocnej na sławnej „benzynie” w Zachodniej Pustyni...

W lesie słychać piski i głosy, przerażające się w piekielny hałas. Rozpoczyna się nocne życie dżungli. Ryki słońi i hałłów, darcie się małp i kakofonia różnych głosów. Nocni mieszkańcy puszczy wychodzą ze swych kryjówek i załatwiają swe sąsiedzkie porachunki.

#### STREFA ALPEJSKA

Szwageja jedzie na koniu, trzymając karabin gotowy do strzału. Idziemy za nim gęstą dżunglą bambusową — królestwem słońi.

Bambusy się przeredzają, wchodzimy w „busz”. Wysokie krzaki ustępują miejsca znacznie niższym, krzaczastym roślinom. Pomiedzy tym buszem, na występkach skalnych kokietują nas śliczne czerwono-żółte gladioli i wspaniałe, mieniące się delfinie, zwane „Blue Butterfly” — niebieski motyl. Zaczyna się strefa alpejska, albo „moorland”. Jak okiem sięgnąć wysoka, kępiasta i ostra trawa. Co chwila wyskakują z niej poszarpane skały, co chwila z pod nóg tryska woda. Czasem zapadamy się po kolana w trzęsawiskach. Osiągamy grzbiety i schodzimy w dolinę „Liki”. Krajobraz zmieniają zupełnie olbrzymie, tropikalno-bagniskowe groundsele i obeliskowe lobelie. Groundsel, to fantastyczne drzewo warzywne rośliny: na wysokim pniju, podobnym do naszej wierzby płaczącej — kapuściasta głowa liści aksamitno białych od spodu. Nad nimi kilkumetrowe nieraz kiście złotawo-żółtych kwiatów. Lobelia, wdzięczna roślina o ciemnoniebieskich kwiatach wznosi się na parę metrów jak obelisk. U stóp tych drzewo-warzyw ścigają się „Heliochryssum”, „wiczyste kwiaty”, szkarłatne geranie i białe „cerastium”. Nad tym wszystkim latają Kenya-Chały, niebiesko-zielone Sundbird’y i podobne trochę do polskich sroczek „Raymonds grackle”. Z poza zbocza wyglądają ośnieżone szczyty Sendeo i Terreri.

Odczuwam już wysokość, odczuwają i Maurice. Pozostajemy w tyle, odpoczywając często. Przechodzimy dolinę, przeskakujemy bystrą rzeczka i wspinamy się dalej po lawowych polach na „diabelskie pola”. Stąd stromymi ścieżkami schodzimy do Doliny Mackinder’a, celu dzisiejszej wędrówki.

Jesteśmy wyczerpani. Na szczęście dochodzimy już do obozu, gdzie spotykamy ekspedycję z Arturem i Kate na czele.

#### WŚRÓD ŚNIEGÓW

Mam gorączkę i ból głowy. Ken daje mi whisky, a Maurice aspirynę. Wysokość działa mi nie tylko na głowę, ale i na żołądek. Serce tłucze się gwałtownie. Nie mogę zasnąć. I jeszcze te przekłete sowy Mackinder’a wyją, jak najęte. O północy zaczyna padać deszcz. Później zlodowaciały śnieg bębni po płótnie namiotu. Zaspiałam na chwilę. Znow się budzę i próbuję się podnieść. Ciężko! Głowa cięży okrutnie, brak oddechu. Ubieram się z trudem i wysuwam z namiotu. Wszystko pokryte śniegiem, woda w naczyniach zamarza. Wjeje mocny zimny wiatr, zaczyna śnieżyca. Ustępuję przyrodzie i wracam do namiotu.

Dość późno, o 10-tej, ruszamy dalej, na szczyt Lenana, przez który biegnie

główny dział wód góry Keni. Wolno idziemy w kierunku Ya Simba — Iwie pola. Dochodzimy do góry. W basenie skalistym usadowiło się jezioro, woda czysta mieni się z ciemnozielonej w jasnoniebieską. Na przedzie zapora kamienna nie pozwala wodom uciec.

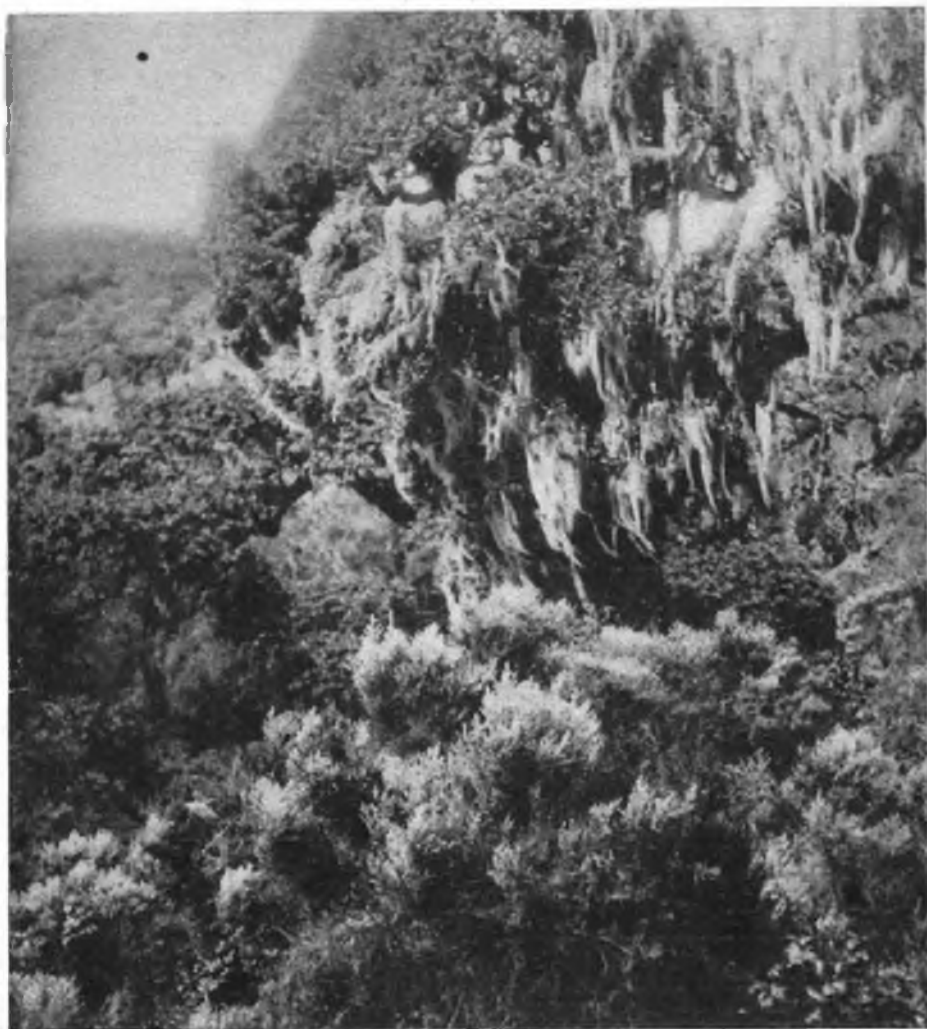
Stąd wspinamy się po stromej morenie. Kiedyś wisił tu potężny lodowiec. Z grzbietu górskiego wspaniały widok. Dziko poszarpane szczyty Coryndon i Delamere, dolina Nishi. Pomiedzy dwiema prostopadłymi ścianami błyszczy jezioro Michaelsona. Dalej ku wschodowi szczyty polodowcowe, wśród nich wulkan z doskonale widocznym kraterem.

Poszarpanym i skalistym grzbieciem schodzimy do stawu „Harris Tarn” o wodach mętnoczerwonych. Nad stawem tym wisił dawniej lodowiec Kolbego, figurujący już tylko na mapach.

Mroźny wiatr smaga po twarzy. Czuję się już dobrze, nie odczuwam wcale wysokości, mimo, że poza zwykłym bagażem dźwigam na plecach o jakieś dziesięć lat więcej od moich towarzyszy. Jesteśmy coraz wyżej, droga staje się niebezpieczna. Idziemy na pola śnieżne, biegnące prostopadle pod skałami. Głęboki mokry śnieg daje doskonałe oparcie, pomagamy sobie kilofami. Alan prowadzi.

Zapadając się po kolana w śnieg i odliczając każde poruszenie się, posuwamy się jego śladami. Odpoczywamy często. Po takim wyczerpującym pochodzie stajemy u podnóża prostopadłej skały. Musimy dostać się na płaski wykusz. Asekurujemy się linami i rozpoczynamy wspinaczkę pomiedzy dwiema skałami.

W szczelinach śnieg i lód, ciemne wul-



Dżungla

kaniczne skały robią niesamowite wrażenie. Ciszę przerywa tylko śnieg usuwający się z pod nóg i świst wiatru. Poza nami nie ma tu żadnego życia. W końcu stajemy na wolniejszej przestrzeni pod lodowcem Gregory’ego, skąd już swobodniej, choć jeszcze asekurujemy się linami, idziemy hrzegiem lodowca Lewisa, by przez rodzaj furtki kamiennej wejść na szczyt Lenana, pokryty zwaliskami olbrzymich kamieni.

#### 16.300 STÓP WYSOKOŚCI

16.300 stóp nad poziom morza! Jest to mój życiowy rekord wysokości, a zarazem polski rekord na górze Kenia. Maurice podaje mi metalową puszkę, w której znajduje się wykaz zdobywców szczytu. Umieszczam swój stopień i nazwisko, pod tym „Poland” i chowam

puszkę na dawne miejsce, pod kamieniem. Dokoła mgły i opary, jedynie ku północnemu wschodowi widać dalekie góry, hen, gdzieś aż na granicy Abisynii. Na chwilę rozstępują się mgły, otwierając wspaniały widok. Oddzielony lodowcem Lewisa ukazuje się ponad chmurami potężny Batian i Nelion, na boku ostry „John” pilnuje bliźniaków. Dalej na północ, pastelowe barwy kraju zalanego blaskami słońca. Poniżej, u naszych stóp, morze kopulastych chmur mieni się barwami tęczy. Zaczarowana kraina.

Wszystko na świecie ma swój koniec. Tęsknię już za cywilizacją. Chcę się ogolić, umyć i porządnie wyspać. Opuszczam więc dolinę Mackindera, jednak żal mi pozostawiać miłych towarzyszy afrykańskiej przygody. Zżyliśmy się ze sobą, nazywaliśmy się po imieniu. Przyroda zbiżyła nas i wyrównała różnice. Dochodzimy, ja i Alan. Reszta zostaje.

Wracamy. — Góry toną we mgłach, tylko na chwilę słońce oświetla biały szczyt Lenana, jakby się chciał z nami pożegnać. Zaczyna znów śnieżyca. Zabłąkany motylek siada mi na klapie ubrania i nie chce się ruszyć. Dobrze mu tutaj. Niosę go za góry w cieplejsze strony.

Zegnam się jeszcze z Raymondem Hookiem, z panią Lebinger i małym Piotrusiem. Wracam do Silverbecka. Z trawistej sawanny podrywa się szarańcza, chmurami unosi się w powietrze i znów zapada w trawy. Jeszcze nie porwał jej szal wędrówki. Niedaleko jakiś biało-czarny ptak, jeden, drugi, setny... Boćkil Przybyły pod Nanyuki i naradzają się, czy w tym roku wracać do Polski.

W domku moim zastaję kupę listów, na wierzchu jakaś złowroga, czerwona despesza. Diabli nadal! Zbieram się na odwagę, otwieram! Śmieję się głośno... Toni usiłuje mnie przekonać, że góry to — „żadna przyjemność. Przyjeżdżaj do Kiambu, tu dopiero odpoczniysz”.

Pakuje manatki i zjawiam się w Kiambu, gdzie oczekuje mnie zmęczona Tomi, pies Punch i trójka hułtajka — Maggie, Henry i John.

MICHAŁ DUDA-MORENA

#### Słońce w lasach góry Keni



Zaginiony lodowiec Kolbe, u dołu jeziora Harris Tarn



Juliusz Mieroszewski

## CIEŃ RZECZY, KTÓRE IDĄ

Jest rzeczą godną podziwu, że w Anglii biegną równolegle dwa potężne nurty: nurt totalnego wysiłku wojennego i nie mniej potężny prąd przebudowy społecznej. Anglia walcząca na lądzie, na morzu i w powietrzu jest równocześnie olbrzymim laboratorium kultury europejskiej. W laboratorium tym nie tylko się rozważa i analizuje, lecz również i eksperymentuje.

Prąd reform, jaki objął współczesną Anglię, znajduje wielkie echo w prasie i publikacjach. Interesują się tymi zagadnieniami nie tylko Anglicy. Poza wyspami brytyjskimi kultura europejska żyje tylko w podziemiach w śmiertelnym niebezpieczeństwie całkowitej zagłady. Nic więc dziwnego, że na głośnych odczytach Juliana Huxley'a pełno jest Polaków, Belgów, Czechów, Francuzów, Holendrów. To, co dokonywane jest w Anglii, nie jest tylko wewnętrzną sprawą brytyjską. Dyskusja dotyczy podstawowych zagadnień kultury europejskiej, światopoglądu białego człowieka — i w Anglii wykrystalizowane zostaną pewne idee, które przejmie kiedyś kontynent.

Osią dyskusji jest w dalszym ciągu plan pełnego zatrudnienia i związane z nim zagadnienia. Dyskusja objęła parlament, prasę codzienną, publicystykę i wydawnictwa naukowe. Nie brak w niej momentów patetycznych, może poniekąd symbolicznych. Niektórzy w zamierzonych reformach widzą ostateczny cios w wolnościowe ideały i tradycje XIX wieku.

W liście do redaktora „Time and Tide” Frederick Jellinek obrazuje historyczne kulisy dyskusji. Przypomina walkę dwóch szkół ekonomicznych liberalnej wiedeńskiej i „państwowej” berlińskiej. Spór tych dwóch obozów toczył się na przestrzeni dwóch generacji od roku 1860 do roku 1920. Berlińscy „Kathedersozialisten” — byli zdaniem autora, prekursorami narodowych socjalistów. Szkoła wiedeńskich liberalistów walkę przegrała. Hitlerowcy wkroczyli do Austrii — ostatnim argumentem było żelazo.

Ten szczegół jest interesujący, gdy się zważy, że autor głośnej dziś książki „The Road to Serfdom” (G. Routledge and Sons — London) prof. F. A. Hayek był przez wiele lat profesorem ekonomii politycznej uniwersytetu wiedeńskiego. W jego oczach każdy zamach na liberalizm ekonomiczny musi w rezultacie przynieść to, co przyniósł Rzeszy, t. zn.: „Serfdom” — niewolę. Autor jest odmiennego zdania, niż Lord Woolton, i twierdzi, że planowania nie można osiągnąć na drodze ugody i porozumienia (agreement). Nie jest prawdą — pisze prof. Hayek — że jak długo zatrzymamy demokratyczną procedurę, władza nie będzie autorytatywna. Postęp demokracji polega — według autora — na ograniczaniu władzy i tylko dlatego nie jest ona jeszcze autorytatywną. Planowanie jest procesem odwrotnym. Wyposaża ono władzę w nowe, szerokie pełnomocnictwa, umożliwiające ewolucję ku autorytetowi. Państwo o gospodarce planowanej jest państwem totalitarnym. Państwo totalitarne i demokratyczne nigdy jeszcze nie istniało. Gospodarka planowana nie ogranicza się nigdy do jednej lub kilku gałęzi produkcji. Planowanie objąć musi całość.

Prof. Hayek zapatrzony w ponurą przeszłość pisze nie bez patosu: „To, co jest obecnie przedmiotem dyskusji w Anglii, zostało już dawno przedyskutowane przez niemieckich socjalistów. Wynik eksperymentu niemieckiego jest wiadomy”.

Współziomek wiedeńskiego uczonego F. Jellinek w cytowanym liście do redaktora „Time and Tide” — posuwa się w swym pesymizmie jeszcze dalej. Celem Niemiec jest, by ich idee zapanowały na świecie. „Wyplanowana” i „zorganizowana” od stóp do głów Anglia — to jest właśnie to, o czym marzą hitlerowcy. Czyż po to prowadzimy tę potworną wojnę?

Zarówno prof. Hayek jak i F. Jellinek są ludźmi obciążonymi kompleksem niemieckim. Są wyczuleni na wszelkie analogie i przekonani, że planowanie gospodarcze może być realizowane wyłącznie według hitlerowskiego wzoru. Gdyby socjologia i ekonomia były fizyką — obaj austriaccy autorzy mieliby 100 procentową rację. Socjologia nie jest jednak fizyką i nie zna wzorów reakcji typowych.

Praca prof. Hayek'a została szeroko omówiona na łamach „The Economist”. „Był czas — pisze „Economist” — że Burke podobnie alarmował opinię demokracją i Francuzami — jak dziś prof. Hayek alarmuje opinię gospodarką planową i Niemcami. Anglicy umieli wówczas znaleźć właściwe rozwiązanie zagadnienia organizacji i wolności na polu politycznym. Byłoby tchórzostwem odstąpić dziś od usiłowania rozwiązania analogicznego problemu na polu gospodarczym tylko dlatego, że rzecz gdzieś indziej nie powiodła się”.

Wyrażając przekonanie, że w kraju o tak wielkim doświadczeniu politycznym jest rzeczą możliwą zrealizować omawiane reformy przy zachowaniu istotnych wartości demokracji — „Economist” stwierdza, że „problemem tego stulecia jest znalezienie metody połączenia planowania (właściwego typu i stopnia) z wolnością”.

Historyczne zaplecze reform podjętych w Anglii, to saga nędz i blasków całej naszej cywilizacji i kultury. Aby projekty te mogły się narodzić, trzeba było uświadomić sobie, że właściwie wszystko zawiodło. Zawiodł cały wiek XIX, na którym oparliśmy żrąb wieku XX. Zawiodła zasada „laissez faire”, której broni prof. Hayek. Liberalny pogląd, który redukował państwo do roli stróża nocnego — zawiodł również. Państwo dziewiętnastowieczne interesowało się obywatelem tylko negatywnie tzn.: pilnowało, by nie przekraczano ustaw. Samo jednak stało wysoko, daleko i neutralnie od idei, które nurtowały w społeczeństwie. Kapitalizm dawnego stylu również nie zdał egzaminu. Nie umiał dać sobie rady z bezrobociem, spadkami produkcji, załamaniem się systemu monetarnego, kryzysami rolnymi itd.

Socjalizm... Co właściwie nazywamy „socjalizmem”? Epoka, która się rodzi nie wytworzyła jeszcze nowej terminologii i w dalszym ciągu powtarzamy często określenia, których treść uległa poważnym zmianom. Powiększa to tylko zamęt i chaos.

Jeżeli przez socjalizm rozumieć ustrój bezklasowy, demokratyczny i międzynarodowy — to stwierdzić należy, że eksperyment ten, realizowany w Rosji, całkowicie zawiodł. Warto zaznaczyć, że socjaliści angielscy byli bardzo sowietofilscy, a H. Lasky propagował nawet „zgodną, względnie dobrowolną rewolucję (revolution by consent)”. Socjaliści amerykańscy uważają Rosję Sowiecką za najbardziej reakcyjne państwo na świecie, które hamuje postęp demokracji wśród narodów. W roku bieżącym zaznacza się

wyraźny zwrot w opinii socjalistów angielskich na niekorzyść Sowieców. Charakterystyczne dla tych zmian są artykuły w londyńskiej „Tribune” i amerykańskim socjalistycznym „The Nation”.

Ta wojna nie wyrzuciła na powierzchnię żadnej nowej idei politycznej. Mówi się ciągle o jakiejś mitycznej „rewolucji”, która ma wybuchnąć to tu, to tam — ale kto ma tę rewolucję robić i w imię jakich haseł? Rewolucja, to program, to idea. Na kontynencie pełno jest „rewolucjonistów”, ale gdy się im bliżej przyjrzeć, okazuje się, że są to poprostu agenci reakcyjnych imperializmów. Anschluss Austrii był także uważany przez „Voelkischer Beobachter” za „spontaniczną rewolucję” robotników austriackich.

Nad wszystkim ciąży technika i przemysł. Szalony, w dosłownym tego słowa znaczeniu, szalony rozwój techniki i przemysłów, który ogarnąć będzie można dopiero z perspektywy stulecia, zaskoczył świat. Ów rozwój rozsadza formy społeczne i polityczno-ustrojowe. Wszystko musi być dostosowane do tego rozwoju. Kryzys współczesnej kultury w 90 procentach spowodowany jest faktem, że postęp socjalny nie jest w możności nadążyć rozwojowi techniki i przemysłów.

Prof. Hayek, reprezentant ekonomicznego „fin de siècle'u”, nawołuje: nie totalizujcie produkcji, bo to droga do niewoli. Działaj tu pewna magia słów. Planowanie nie musi być totalizmem, a totalizm z kolei nie musi być faszyzmem. Anglia współczesna jest państwem planowanego wysiłku wojennego i równocześnie państwem demokratycznym. Napoleon nie prowadził wojen totalnych, bo ówczesny rozwój techniki i przemysłu na to nie pozwalał. My prowadzimy wojnę totalną, bo żadna inna w naszej epoce nie jest możliwa. Wojna pełnej produkcji przemysłowej, wojna pełnego zatrudnienia, innymi słowy wojna totalna — postawiła ów problem „planowanego pokoju”. Powrót do klasycznego liberalizmu, czego życzyłoby sobie prof. Hayek i ludzie jego poglądów — oznaczałby: dziesiątki milionów bezrobotnych, gwałtowny spadek produkcji, kryzysy daleko głębsze, niż po tamtej wojnie — chaos.

Przez wszystkie nawoływania liberalistów przewijają się jak czerwona nić słowa: wolność i demokracja, przy czym określenia te używane są synonimicznie. Antytezą owego „Serfdom” jest demokracja „wolność”. I tu również napotyka się na jedno z tysięcy nieporozumień, wynikłych ze zmian, jakie zachodzą w treści ideologicznych terminów i określeń. Dla liberalistów typu prof. Hayek'a słowo „wolność” ma jeszcze ciągle romantyczny podźwięk hasła: „śmierć tyranom”. Polska interpretacja tego słowa jest również taką i jeszcze długo taką będzie musiała pozostać. Ale czymś zupełnie innym jest słowo wolność w ustach angielskiego robotnika. Anglikowi słowo to nie przywodzi na pamięć walk przeciwko tyranii, okupantowi, czy terrorowi. Słowo „Freedom” używane jest w publicystyce angielskiej niemal zawsze z bliższym określeniem, a więc np. „Freedom from want”. W tym sensie używa słowa wolność Lord Woolton, omawiając plan pełnego zatrudnienia.

Człowiek na wyspach brytyjskich nie jest i nigdy nie był prześladowany przez Gestapo, czy NKWD, nie zna okupacji i teroru. W jego rozumieniu słowo „wolność” w obecnym stadium rozwoju socjalnego nabiera coraz bardziej sensu ekonomicznego. Kto nie zdaje sobie spr-

wy z ewolucji treści pojęć i terminów skazany jest na wieczne nieporozumienia. „Freedom from want” jest pojęciem ekonomiczno-socjalnym, mającym mało wspólnego ze słowem „wolność” w interpretacji liberalistów szkoły wiedeńskiej. I dlatego obserwujemy takie paradoksy, że plan pełnego zatrudnienia popierany jest przez socjalistów jako wielki krok ku wolności (w znaczeniu „Freedom from want”), a liberaliści typu prof. Hayek'a widzą w tym planie grób wszelkich demokratycznych i wolnościowych ideałów.

Żadne zagadnienia polityczne (a zwłaszcza dotyczące polityki zagranicznej) nie wywołują takiego zainteresowania, jak problemy planowania, zatrudnienia, produkcji, techniki. Żołnierz liniowy w pierwszym rzędzie zainteresowany jest osobiście tym, czy kiedy wróci z wojny, znajdzie zaraz pracę godziwie wynagradzaną, która pozwoliła by mu odbudować jego życie rodzinne, wykształcić dzieci i żyć w „Freedom from want”. Słusznie wnioskuje, że ma prawo do tej pracy, że ma prawo do równego startu życiowego, że ma prawo żyć w wolności od niepokoju przed niedostatkami czy nędzą. To właśnie jest demokracja.

Sprawa w założeniach swych jest prosta: jeżeli uznaje się prawo obywatela do pracy i do „Freedom from want”, to tym samym zajmuje się stanowisko wyrażone w „White Paper”, o pełnym zatrudnieniu. Pełne zatrudnienie osiągalne jest tylko w drodze planowania. Na ten punkt zgadzają się i liberaliści.

To są wszystkie zagadnienia w stanie płynnym. W samej Anglii reformy te mają zaciekle przeciwników i zwolenników. Jedno można stwierdzić z całą pewnością: sprawiedliwość społeczna, a nie wolność jest dziś hasłem Nr 1. Proces, jaki obserwujemy w Anglii, jest ewolucyjnym ruchem nie odwracalnym. Musimy dostosować ustroje do olbrzymich osiągnięć techniki, dostosować ekonomię do nieograniczonych perspektyw produkcji — umożliwić wszystkim ludziom korzystanie ze zdobyczy nauk przyrodniczych.

Niepomierny rozwój techniki z jednej strony życie ułatwił — z drugiej ogromnie je skomplikował. Jednostka korzystając z setek ułatwień i udogodnień technicznego postępu nie zdaje sobie zwykle sprawy z faktu, że każdy krok w dziedzinie rozwoju techniki i produkcji stawia przed społeczeństwem nowe zadania organizacyjne. Administracja komplikuje się z każdym rokiem. Pęd ku specjalizacji jest wynikiem zarówno realnej potrzeby, jak i coraz większych trudności związanych z wysiłkiem opanowania całości. Kończy się prawdopodobnie epoka tzw.: „inteligencji” tj. warstwy ludzi o ogólnym wykształceniu. Specjalizacja staje się tak trudna, że w przyszłości znacznie mniej czasu będzie można poświęcać studiom ogólnym. Jest niewątpliwie coraz mniej ludzi orientujących się w całości dokonywujących się przeobrażeń, a potrzeba coraz bardziej zróżniczkowanego podziału pracy, funkcji i kompetencji — uwypukla się coraz natężniej. W sumie stwarza to konieczność coraz głębszych i precyzyjniejszych form organizacyjnych. I na to nie ma rady. Postęp techniczny wymaga coraz dalej posuniętego organizowania i planowania, jeżeli technika nie ma być mieczem w ręku szalonego. Buntować się przeciwko temu byłoby równie śmieszne, jak negować prawo o skutkach i przyczynach.

# RYCERSTWO SCHODZI ZE SCENY

JAN ULATOWSKI

Wiem, że tak on sam rozumiał swoją śmierć, mój stary towarzysz broni, Adolf Bocheński, donkiszot szlachectwa, monstrem szlachetności. „Z tej wojny nie wypada wracać” — powiedział mi w Quisil Ribat i miał na myśli takich, jak on. Nie czułem się tym dotknięty, chociaż słowa te stworzyły dystans między mną a nim, między nami a nimi. Rozumiałem doskonale, że z dystansu uczyniłbym przepaść, gdybym próbował mu przytaknąć i że zatrułbym naszą przyjaźń, gdybym chciał go od tej myśli odwozić. On miał prawo myśleć o sobie tak dumnie i tak melancholijnie zarazem. Historia, tradycje szlacheckie i katolicyzm były dla niego symbolami tej formy, której rozpad oznacza zarazem rozkład treści.

On żył przeszłością, która dla niego była święta tą świętością bez frazesu, niepojętą dla nas — ludzi przyszłości, może smutnej przyszłości, napewno innej niż przeszłość, ale czymżeż byłiby ludzie bez przeszłości, gdyby nie mieli przyszłości, gdyby nie robili sobie z niej ideału?

Wzywam na świadków jego kolegów i podwładnych: czy to był „landlord”, „pan polski”, „obszarnik”, „faszysta”? Znałem go jeszcze bardzo krótko i mało, gdy w Mersa Matruh podśledzałem rozmowę żołnierzy z jego oddziału. Opowiadali o nim tak, jakby kompletowali akta dla „advocatus diaboli” w procesie kanonizacyjnym. Sierżant-podchorąży Bocheński, zastępca dowódcy plutonu, wstawał na pół godziny przed pobudką i nosił wodę dla oddziału. To był jeden z wielu faktów uderzających i dziwacznych. Jakiś słuchacz — żołnierz innej jednostki — próbował to tak właśnie ująć — jako dziwactwo. Nie przekonał nikogo. Nie zakrzyczano go, bo to była rozmowa między żołnierzami, a nie manifestacja — i nikt nie potrzebował niedowiarstwa odsądzać od czci i wiary, bo żaden z żołnierzy Bocheńskiego nie czuł się ofiarą demagogii. Oto im ktoś zademonstrował inny, niezwykły — może egzotyczny, może niezrozumiały, może nawet dziwaczny — ale autentyczny typ życia. Żołnierze go szanowali, a prawdziwy szacunek jest czymś więcej, niż miłość.

Mieli w nim dowódcę wymagającego, ale — wobec siebie. Dla nich był tak wyrozumiały, tak pobłażający wadom charakteru, umysłu i wychowania, że wstydzili się być gorsi, niż żołnierz być powinien. Nie budził zawiści — może dlatego, że w porównaniu z tymi silnymi fizycznie, sprytnymi i zgrabnymi chłopcami wydawał się często prawie „ofermą”. Kiedy szedł podpalać swoją wieżę w Tobruku, zgubił po drodze lont i musiał podpalać wieżę zapałkami: jakież był wdzięczny swojemu towarzyszowi — prostemu strzelcowi — że nie zgubił bańki z benzyną! Jakże kpił sam z siebie, że stracił nerwy w trudnym przedsięwzięciu!

Poznałem go dopiero w Brygadzie Karpackiej, choć znałem już z artykułów w „Polityce” i ceniłem jako pisarza politycznego. Przyjaźń jego udało mi się zyskać w El Amria, gdy sprawdziła się pogłoska, że nie jedziemy na odpocznik do Syrii, tylko na wojnę do Tobruku. Gratulowałem mu tego serdecznie, gdy spotkałem się pod „małpim gajem” w dniu wielkiej likwidacji walizek, prywatnych sortów, książek i innego zbytecznego bagażu. Ujęło go, że zrozumiałem jego radość. Dla takich jak ja — wyjazd do Tobruku był spełnieniem prostego obowiązku, a takich jak ja była większość. Dla niego było to ponadto spełnienie nadziei na nowe „Virtuti Militari”: pierwsze dostał w Narwiku, drugie chciał zdobyć w Tobruku — jedno na północnym, drugie na południowym krańcu szlaków, którymi do kraju wracał żołnierz polski.

W Tobruku czuł się weteranem — miał

za sobą już trzy kampanie i znał zapach prochu. Jeden z moich towarzyszy — świetny żołnierz, ale, jak każdy świetny żołnierz, straszny człowiek — maskował swój podziw dla Bocheńskiego oburzeniem: „To wariat! Nie daj Boże, żeby został dowódcą plutonu — ludzie będą pod nim ginąć jak konie pod Skrzyneckim!” Mylił się mój przyjaciel — nikt tak nie szanował swoich ludzi, jak Bocheński, nikt tak nie wyręczał ich w trudniejszych zadaniach, jak on. Pecha miał tylko na jednym z pierwszych patroli, gdy od pocisku z włoskiego moździerza zginął podchorąży Pieniążek. Był to pech podwójny — Pieniążka zabrał z sobą na patrol wbrew woli jego szefa, jednego z najserdeczniejszych swoich przyjaciół. Porucznik P. popadł niemal w melancholię po śmierci swojego młodzieńczego zastępcy.

Moja drużyna nosiła Bocheńskiego, żywność i wodę plutonowi Bocheńskiego, gdy stał pod Medauarem. Był to drugi miesiąc pobytu na linii i wszyscy przechodzili wtedy lekki kryzys psychiczny. Adolf nie wstydział się mówić o tym. „Nie można tu przecież siedzieć wiecznie!”. Tegoż wieczoru sanitariusze przynosili obok nas żołnierza, który wysunął rękę ponad brzeg płytkiego rowu łącznikowego, by ściągnąć płachtę zasłaniającą wnętrze ciasnego legowiska: celna seria z dawno wstrzelanego Spandau obcięła mu wszystkie palce. Nic dziwnego, Spandau stał w odległości niecałych dwustu metrów, a niemieccy strzelcy, którzy zastąpili Włochów, gdy Polacy znaleźli się na pozycjach, byli niezwykle zawzięci.

W pierwszym miesiącu pobytu na linii w Tobruku Bocheński był na 24 patrolach, w tym na ośmiu tzw.: „ciężkich”. Pod Medauarem nie przestał wyłazić na pole minowe, ale patrole były tu rzadsze, a dla indywidualnych wypadków mało było okazji. Więc męczyły go noce, spędzane na własnych pozycjach. Próbowałem go bawić listami, wymienialiśmy

rzadkie książki. Nie mógł czytać, nie napisał ani słowa. Podziwiał mnie, że w tych warunkach tyle czytam i piszę: nie wiedział, że to była moja forma „ucieczki od rzeczywistości”, o ileż mniej żołnierska, niż jego mania patrolowa!

Z Tobruku wrócił okryty tym, co się nazywa sławą. Czy był dumny z niej? Jeżeli był, to nie okazywał tego, słyszałem natomiast, jak swojemu towarzyszowi broni zwierzał się z wątpliwości, czy sprosta nowym zobowiązaniom, jakie nakładają na niego te świeże odznaczenia. Trapiła go myśl, że może być zmuszony do narażania życia innych, by usprawiedliwić swoją reputację. Na nowe walki musiał jednak czekać prawie dwa lata, a po tych dwóch latach złożyć ofiarę nie z cudzego, ale z własnego życia.

W Iraku, gdy inni — o ileż mniej wykwalifikowani od niego — uznali, że lepiej przysłużyć się sprawie, gdy oddadzą na jej usługi swoje nie-wojenne zdolności i umiejętności, Adolf Bocheński uparł się przy linii i wolał uczyć swoich żołnierzy nawigacji, niż informować swoich przełożonych o tym, co się dzieje w świecie lub uprawiać propagandę. Zarzucano mu nieraz pozę — ale kto zna jego książkę o polityce zagranicznej, napisaną przed wojną, ten zrozumie, że Bocheński po prostu był tylko konsekwentny. Jego koncepcja polityczna nie wytrzymała próby życia — wypadki ją przekreśliły. Stała się niewczesna — już nie aktualna lub jeszcze nie aktualna. A ludzie w typie Bocheńskiego nie mogą być oportunistami: wierność dla własnych przekonań jest dla nich przymusem — niemal mechanicznym.

Adolf Bocheński był w Polsce jednym z najbardziej wymownych rzeczników niepopularnej idei wspólnego z Niemcami marszu na Rosję. Rozumiał, że rozprawa z Niemcami jest niemiękkiona, ale większe niebezpieczeństwo widział na Wschodzie, a zhytnio czuł się zobowiązany do uczciwości intelektualnej, by to,

co uważał za jasne — dla ubocznych względów, np. dla popularności — zaciemniać. Był więc na pozór doskonałym materiałem na Quislinga: każdy Hitler woli wspólników z przekonania od przekupnych kanali. Jeżeli poszedł na wojnę, narzuconą nam przez Hitlera — nie stał się niekonsekwentnym: upatrzony partner, który woli być wrogiem — staje się wrogiem. Ale jeżeli nie wystąpił z szeregów, gdy rząd polski zawarł z Sowietami sojusz, który w oczach Bocheńskiego był ofiarą daremną — jeżeli dawał krew swą, a wreszcie dał i życie, — jeżeli tak postąpił, to czy był konsekwentny?

Przyjaciele, koledzy i podwładni Bocheńskiego, którzy nad świeżą mogiłą poświęcają mu chwilę zadumy — zgodzą się, że był on pod wieloma względami w z o r e m. Mało kto miał lojalniejszego podwładnego, ofiarniejszego przyjaciela, bardziej koleżeńskie kolegi i sprawiedliwszego przełożonego. Wśród publicystów mało jest równych mu pod względem gruntowności wykształcenia, uczciwości intelektualnej, talentu i odwagi przekonań. Nie wielu Polaków, młodego pokolenia, pozostawi po sobie taką jak on sławę doskonałego żołnierza. Nie znałem człowieka bardziej bezpośredniego, bezpretensjonalnego i bardziej dbałego o to, by nie urazić bliźniego. Myślę, że był dobrym chrześcijaninem i katolikiem. Ale Adolf Bocheński był ponadto dobrym Polakiem i Europejczykiem. Może właśnie przez to, że poszedł przeciw sobie samemu i nie umył rąk, gdy trudność sprawy polskiej stała się nieznosną — tym bardziej dla niego, który tę trudność przewidział i przed nią ostrzegał. Nie przez śmierć swoją, ale przez upór w walce Adolf Bocheński stał się czymś więcej, jak wzorem — stał się symbolem dobrego Polaka i Europejczyka.

Polska nie jest ubezpieczalnią od przeciwności życiowych, Polska nie jest gwarancją osobistego dobrobytu, Polska nie jest przedsiębiorstwem, któremu można wypowiedzieć solidarność, wyzywając się jego akcją. Polska nie istnieje poza Polakami, Polska — to my. Nie będzie ani trochę więcej warta, jak my jesteśmy wariaci, nie będzie ani trochę więcej szanowana, niż my będziemy szanowani. Spełniając swój obowiązek wobec Polski — spełniamy go wobec siebie, zdobywając sobie szacunek — zdobywamy go Polsce. Póki my żyjemy — ona nie zginie, póki my pozostajemy sobą — ona będzie. Ale nie będzie ani trochę większa, niż granice, które jej wyznaczymy. Nie w marzeniach, nie w pobożnych życzeniach, nie w pocziwym oczekiwaniu i nawet nie w rachunku, jaki piszemy krwią naszym sprzymierzonym — bo wiele rachunków, nawet najkrwawszych, pokrywa się pyłem dziejów w biurkach dyplomatów — tylko w czynie naszym, który nie zna wahań, bo jest nastawiony na jeden jedyny cel — na Polskę — i z kierunku tego nie zbroczy ani wtedy, gdy zamiast dróg otworzą się bezdroża, ani wtedy przecież, gdy wrócimy do swoich pieleszy, bo Polska nie jest wielkością geograficzną, którą można w pewnej chwili ustalić, lecz wielkością duchową, która jest jak lot ptaka — wysiłek, potrzebny, by utrzymać się w locie, nie jest wcale mniejszy od wysiłku potrzebnego, by się wzbić. Polska nie przestała istnieć, gdy wróg zalał jej ziemię, nie przestanie istnieć, gdy ją wojna po raz trzeci spustoszy, nie zginie, dopóki my walczymy i upieramy się przy niej.

Czy Polak może chcieć czego innego, jak Polski? To retoryczne pytanie wyłania się dla mnie z żywota Adolfa Bocheńskiego. To retoryczne pytanie nasza rzuca światu i to retoryczne pytanie będzie stało przed światem, póki choćby ostatniemu Polakowi starczy tchu.



ADOLF MARIA  
**BOCHEŃSKI**

Z PONIWKY

PODPORUCZNIK KARPACKIEGO PUŁKU ŁĘKÓW

KAWALER MALTAŃSKI

KAWALER ORDERU VIRTUTI MILITARI

dwukrotnie odznaczony

KRZYŻEM WALECZNYCH

uczestnik kampanii

POLSKIEJ, NORWESKIEJ, FRANCUSKIEJ,

LIBIJSKIEJ I WŁOSKIEJ

POLEGŁ NA POLU CHWAŁY

POD ANCONĄ W DNIU 18 LIPCA 1944 ROKU

# Nowy Sprzymierzeniec

Znane powiedzenie głosi, że: „własne, choćby gorsze, jest jednak lepsze od cudzego”. Stara ta prawda jeszcze raz znalazła swe potwierdzenie ostatnio w Niemczech, gdzie własna, rodzima bomba, podłożona przez pruskiego oficera w gabinecie narad Hitlera, narobiła więcej huk i spowodowała więcej wstrząsów w Trzeciej Rzeszy, niżli tysiące obcych, olbrzymich bomb, zrzuconych precyzyjnie podczas gigantycznych nalotów RAF'u.

Zawsze, jakby nie było: co swoje — to swoje.

Już od dawna Goebbels obwieszczał przez radio, że Niemcy posiadają szereg nieznanych dotąd broni: samoloty rakietowe, miny najnowsze i ruchome bomby na gąsienicach. Ostatnio jednak świat dowiedział się, że Niemcy mają również

bomby na posiedzeniach i miny bardzo rzadkie.

Hitler nie jest rodowitym Niemcem. Gdyby przybył wówczas wraz ze sztabem z przysłowiową, niemiecką punktualnością, mógłby się być przynajmniej trochę rozzerwać, a tak, rozżość się się jedynie, jak dziecko, które zostało niezupełnie wysadzone — w powietrze. Rozgniewany skierował nieudaną eksplozję w stronę swych generałów, uznając widocznie, że jeśli może rzucić na Anglię samoloty bez pilotów, to trafi również walczyć armią bez dowódców. Jest to jeszcze jeden w tej wojnie wynalazek niemiecki, dzięki któremu zostało zabitych więcej najwyższych oficerów, niż w całym szeregu walk przeciw Sprzymierzonym. Wybuch tej złe podłożonej „żabki” wywołał jednak wybuch

powstania w kilku garnizonach tak, że Luftwaffe we własnym kraju musiała ostrzeliwać niemieckich żołnierzy. Był to ostatnio jeden z najbardziej udanych na wojska lądowe nalotów lotnictwa Trzeciej Rzeszy, po którym wszystkie Messerschmitty bez strat, szczęśliwie powróciły do swych baz. W wielu miastach ogłoszono stan wyjątkowy i stan oblężenia. Smiało zatem można powiedzieć, że brzemien na w wypadki Germania jest dziś w poważnym stanie i że przydałoby się jej królewskie cięcie. Szkoda więc, że do królewskiego cięcia tak daleko. Cóż jednak zrobić, jeśli pogoda, jak podają komunikaty, nie dopisuje: deszcz pada, a na deszczu cygara mokną, więc nikomu się nie pali.

Tymczasem Hitler w swej przemowie do narodu oświadczył, że jego generałowie i marszałkowie, to jedna wielka banda złodziejów, łajdaków i kryminalistów. Nie powiedział jednak nic nowego, my bowiem wiedzieliśmy już o tym dawno, od samego wybuchu wojny. Wynika z tego, że od pięciu lat zrealizmy Niem-

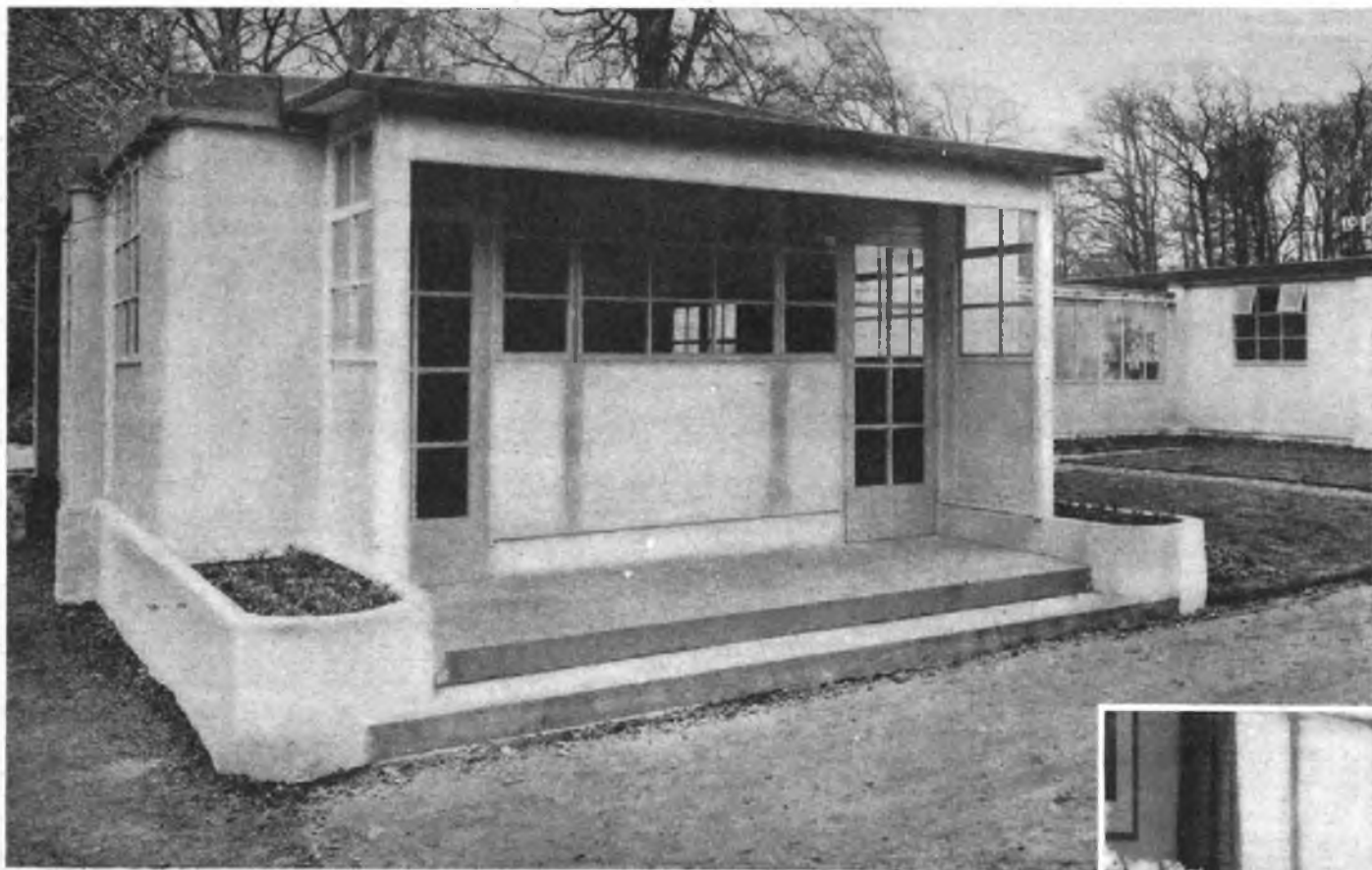
ców lepiej, niż ich własny Führer, który się poznał na nich dopiero dzisiaj. To samo, co obecnie, wołał Hitler jeszcze przed paroma miesiącami pod adresem swych niedawnych sprzymierzeńców — Włochów, gdy oś Berlin-Rzym trzasnęła pod naciskiem łożysk kulkowych, syjących się ze strony oddziałów polskich i Osmej Armii. Dziś zato Mussolini wysłuchuje tych nowych złorzeczeń swego przyjaciela, zażywając w Niemczech na łaskawym chlebnie „wczasów”, zwanych: „Kraft durch Schaden-freude”. Bo też bałagan wzrasta tam z minuty na minutę.

Marszałek Goering ogłosił, że wszystkie wydawane lotnictwu rozkazy muszą być przez otrzymujących je, na wszelki wypadek, sprawdzane przez telefon. Retę, co to będzie, gdy każdy pilot, każdy lotnik, obserwator, strzelec przedni i tylny, każdy radiotelegrafista, mechanik, każdy żołnierz z obsługi ziemnej lub wartownik lotniska bądź hangaru zaczął telefonować! Toż dopiero aparat będzie zajęty! A co się stanie, jeśli telefon zepsuje się, albo zdenerwowana telefonistka miał połączyć z gabinetem Goeringa, przez pomyłkę połączy np.: z zakładem pogrzebowym lub rzeźnią miejską? Jeszcze gorzej, gdy przez pomyłkę zostaną połączeni z kwaterą zrewoltowanych oficerów, którzy podobno znajdują się we Frankfurcie. Tymbardziej, że jak wiadomo z geografii, Frankfurt jest kilka. Jest Frankfurt nad Menem, jest Frankfurt nad Odrą. Może więc być również i Frankfurt nad Wołgą lub nad Donem, gdzie zbuntowanymi junkrami okazał się tzw.: „dobrzy Niemcy”. Wszystko jest możliwe. Jedno wszakże jest pewne, że do wojny przeciwko Niemcom przybył Sprzymierzonym jeszcze jeden sojusznik.

Sojusznikiem tym jest w tej chwili partia hitlerowska, która wytłukuje najtęższe mózgi armii i kwiat niemieckiego wojska. Dowódcy, jacy jeszcze nie poszli do niewoli lub zostali przy życiu na polu walki, giną od kul własnych plutonów egzekucyjnych, które stworzyły nagle nowy, trzeci front, wspomagający Sprzymierzonych. Podobno nawet, generał Eisenhower ma zamiar wysłać do Hitlera depeszę z podziękowaniem:

„Adolfie — ja ci tego nigdy nie zapomnę”.

Tadeusz Witlin



Jeden z typów produkowanych fabrycznie domów letniskowych

## Trzy czolgi — jutro domy

W Anglii powstała pierwsza fabryka domów. Po wojnie szereg fabryk produkujących obecnie czołgi, działa i

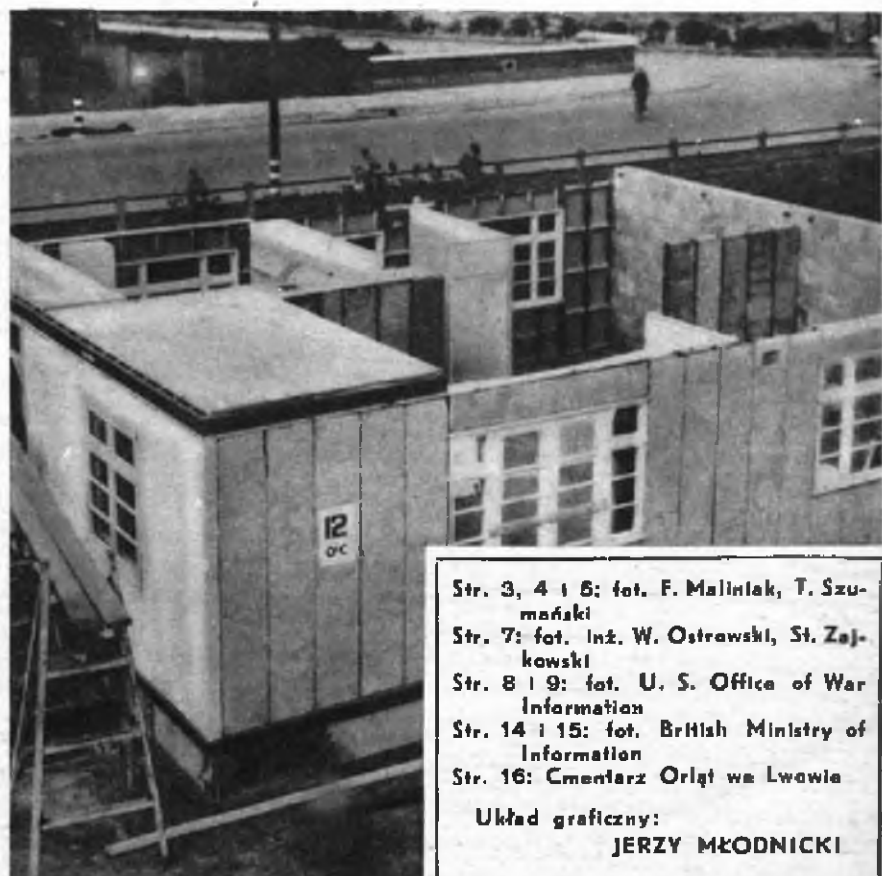
wszystko to, czego potrzebuje walcząca, nowoczesna armia — przystąpi do masowej fabrykacji domów. Oblicza się, że będzie potrzebna około pół miliona domów w samej Anglii w okresie przejścia z gospodarki wojennej na pokojową. Pierwsze fabrykowane masowo domy okazały się bardzo praktyczne i tanie. Istnieje kilka typów zasadniczych, które wszystkie składają się z numerowanych części — tak, że postawienie domu nie trwa dłużej, niż 8 godzin. Zasadniczym materiałem budowlanym jest plastyczne drzewo i stal. Każdy dom posiada centralne ogrzewanie elektryczne, kuchenię elektryczną, bieżącą ciepłą i zimną wodę, lodówkę, łazienkę itd. Droższe modele zaopatrzone są w urządzenia oziębiające, które regulują temperaturę wewnątrz pomieszczeń w lecie.



Gabinet w domu seryjnym. Budulec: drzewo plastyczne i stal

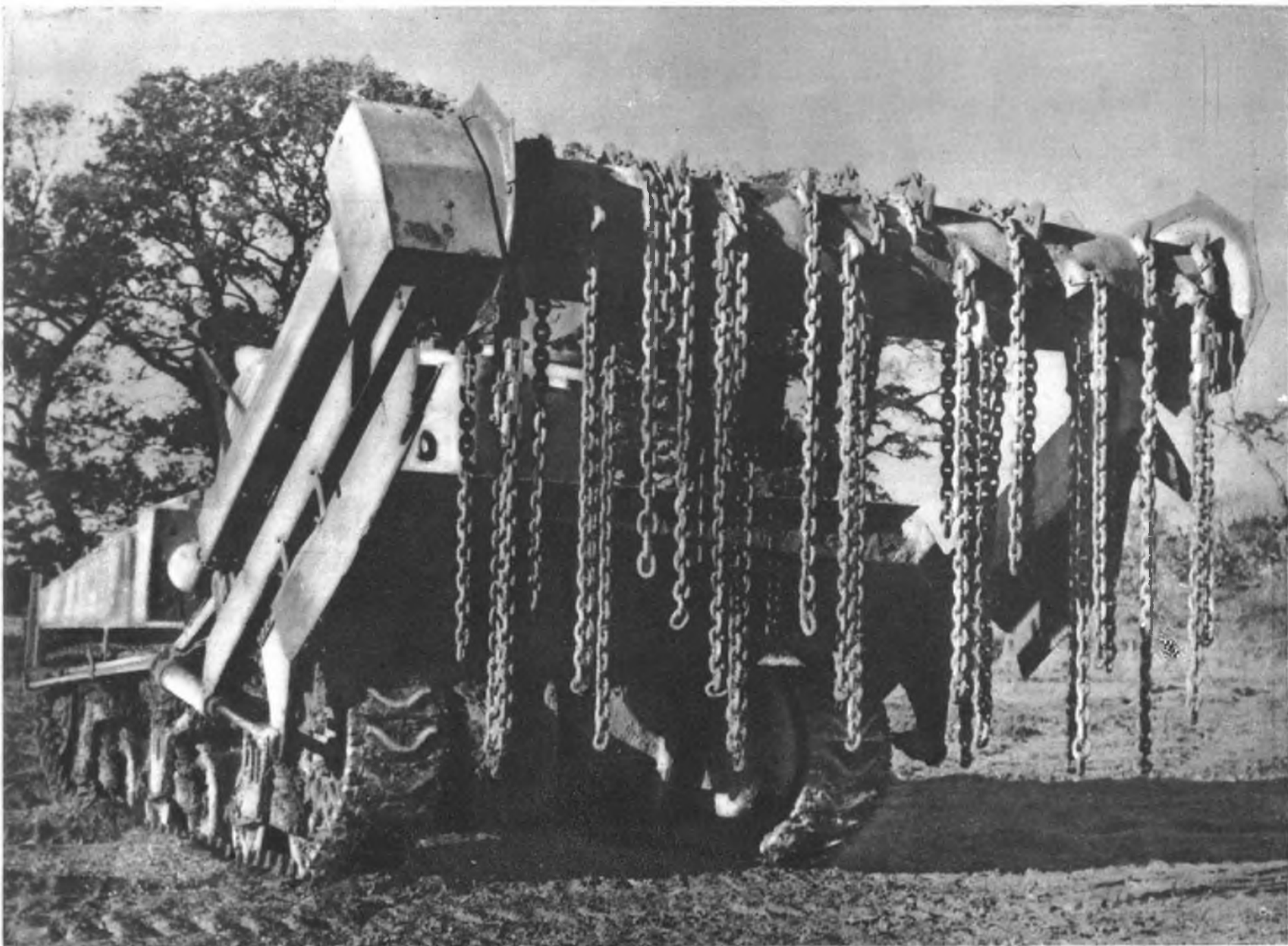
Z ponumerowanych części w 8 godzin powstaje dom

Wnętrze salonu w domu produkowanym fabrycznie



Str. 3, 4 i 5: fot. F. Malinlak, T. Szumafski  
Str. 7: fot. inż. W. Ostrowski, St. Zajkowski  
Str. 8 i 9: fot. U. S. Office of War Information  
Str. 14 i 15: fot. British Ministry of Information  
Str. 16: Cmentarz Orłąt we Lwowie

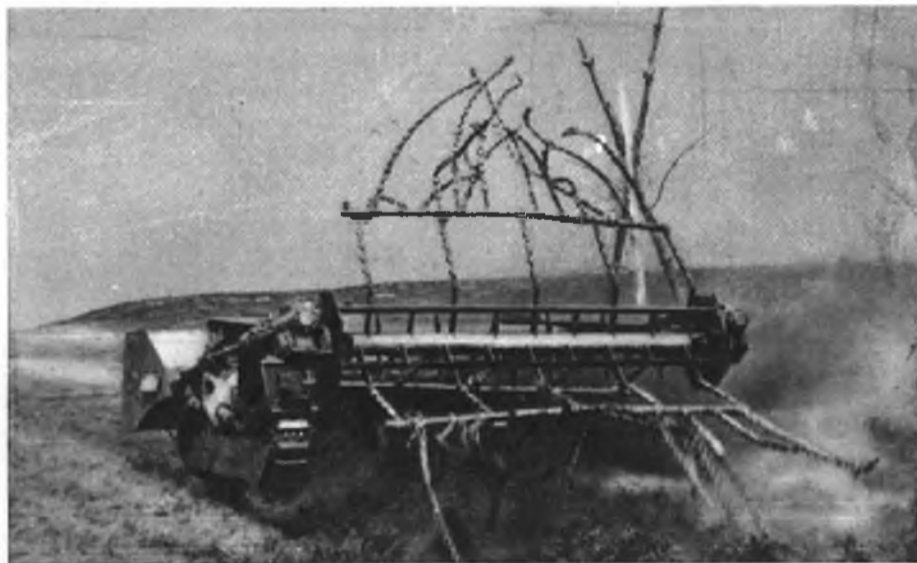
Układ graficzny:  
JERZY MŁODNICKI



Nowy typ czołgu. Łańcuchy umocowane na obrotowym bębnie powodują wybuchy min. Ów czołg „poławiacz min” oddaje wielkie usługi w Normandii

# CZOŁG-POŁAWIACZ MIN

„Crab” na wybrzeżach Normandii — na pierwszym planie grupa niemieckich jeńców



Poprzedni typ „Baron”, którego zastąpił obecnie nowy „poławiacz min” — „Crab” (zdjęcia powyżej)

Czołg — rozbijacz min w akcji



